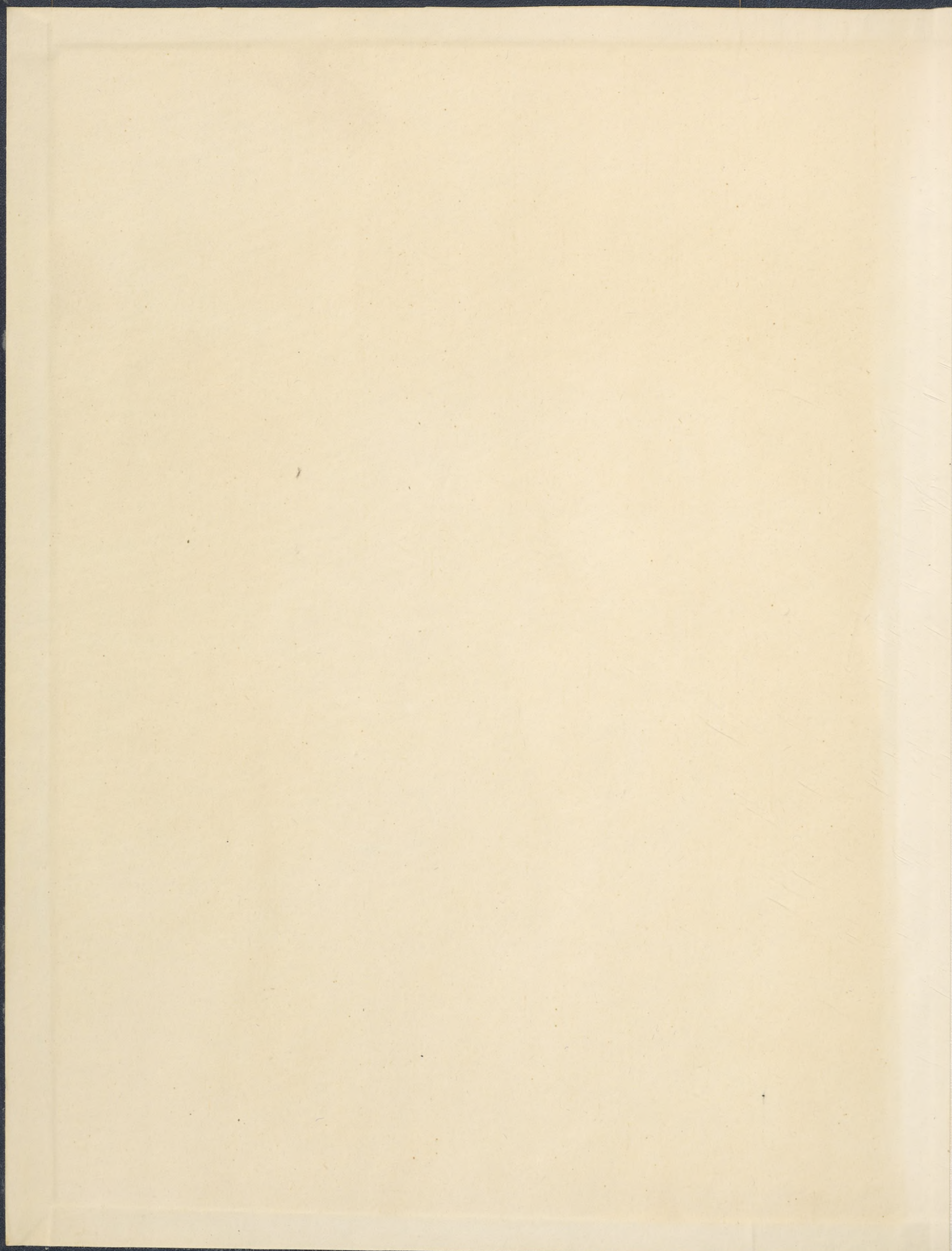
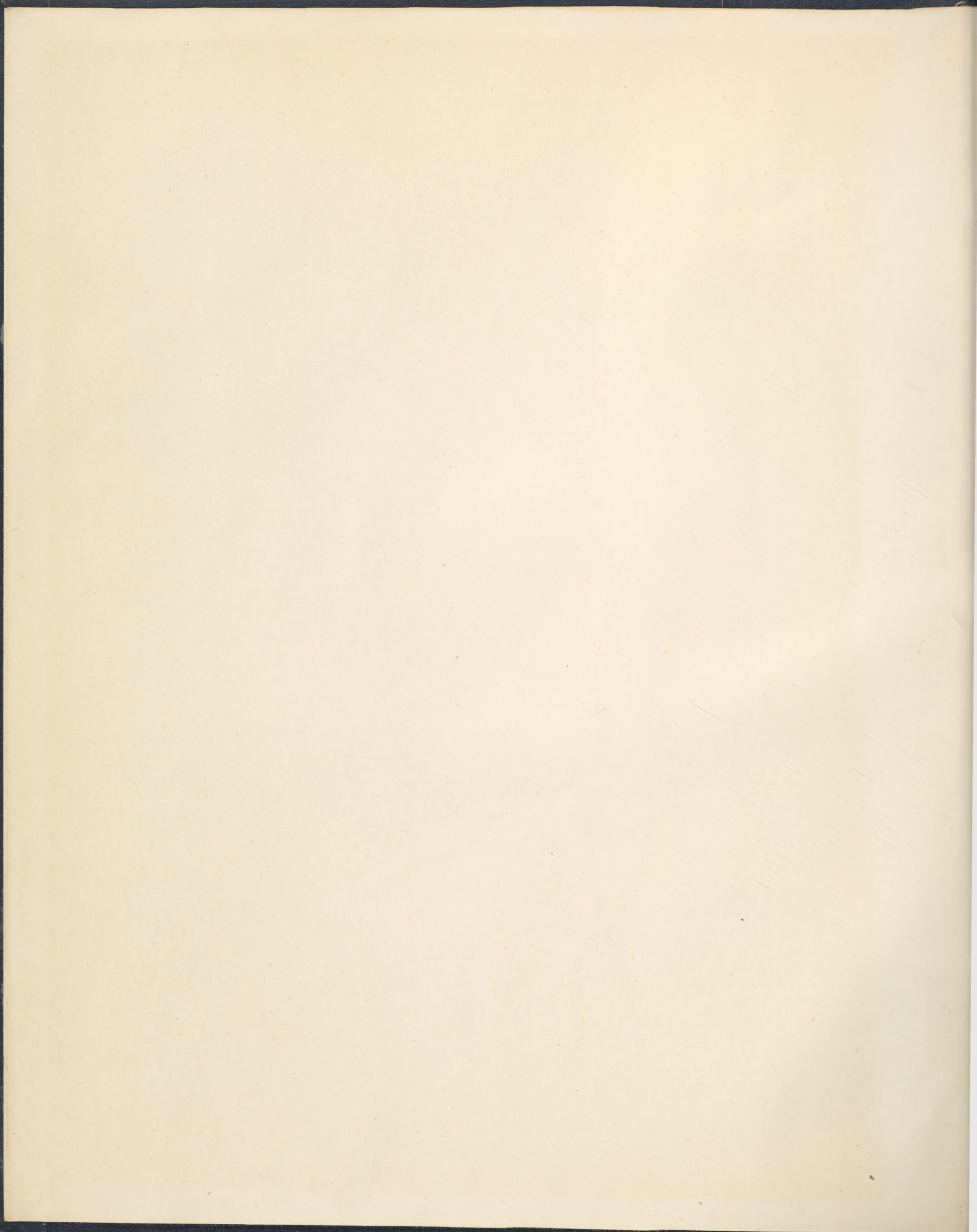


URODZONY

JAN DEBORÓG



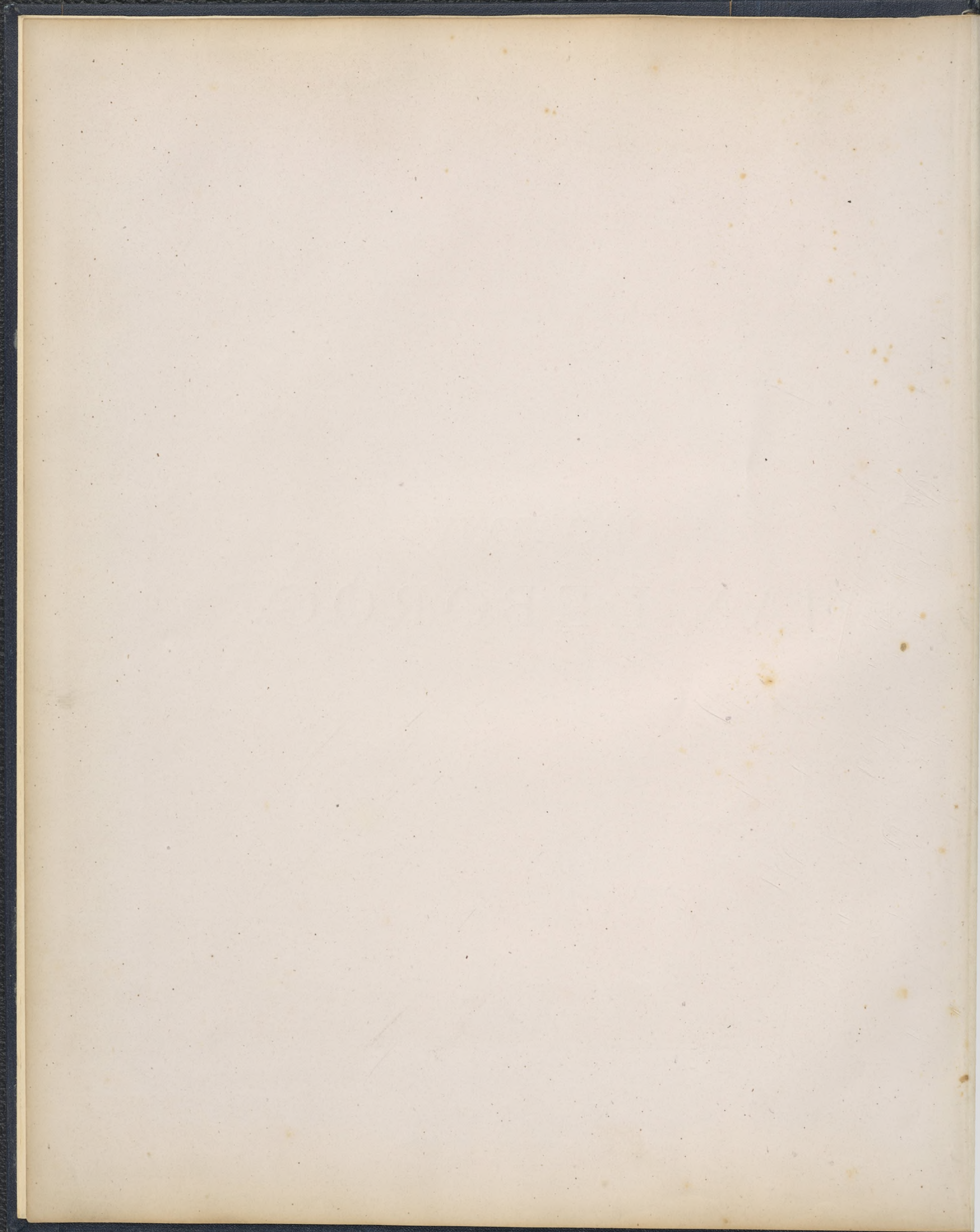




URODZONY
JAN DEBORÓG.

Drogiemu bratu od hochajšej siostry Seneryny.
6 Lutego 1881. r. w Petersburgu.

*Łate łata, narodzeni..... sapsie stonie
Sre scistawny — chrzila błoga!
Na pamiętkę mię tej chrzili, ujęj Ławie,
Miej chci Janu Debora.*



BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA



WIDZENIE DEBOROGA.

Redde quod debes!

URODZONY
JAN DĘBORÓG

DZIEJE JEGO RODU, GŁOWY I SERCA,
PRZEZ NIEGO SAMEGO OPOWIADANE.

RYTMEM SPISAL

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

(LUDWIK KONDRATOWICZ).

ILLUSTROWAŁ E. M. ANDRIOLLI.

WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,

przy ulicy Nowolipki Nr. (2406) 3.

1880.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Мая 1880 года.



III. 393.780

1969 K 772/16

PRZEDŚPIEWEK

DO LITEWSKIEGO CZYTELNIKA.

Ziemia moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokazne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak jak u Auzońców i Helwetów słyszę,
Gdzie pola jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy,
Takie cudne co chwila stawiają krajobrazy,
Takie rzeki, kaskady i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują i na dziw rozwożą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwyta...
Ty nie dojdiesz téj sławy, Litwo rodowita!
Twoja ziemia posepna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku;
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina,—
Z nieociosanych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.

A jednak do twój treści zajrzawszy głęboko,
Litwo! tyś więcej warta, niż zda się na oko:
Pieszczota oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;
Siermiężny syn twych wiosłok po to ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknej Europie...

Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
Niestraszny dla żeglarza i spokojny niby,
Pozwala sobie łodziom deptać całe lato,
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą;
Nie stawia groźnie czoła — nie rwie się, nie ryczy,
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!
O! nie wierz tej pokorze — i patrz, kiedy łaska,
Gdy się na wiosnę wzburzy i lód poroztrzaska, —
Biada! ocknął się olbrzym — wie, kto go znieważa:
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza,
Fala zalewa błonie, echem grzmi po borze,
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipiał, już krzywd zapomina...
Ot tak samo jak Niemen i serce Litwina;
Tu gdzie niebo posępne, gdzie chłodnawe klima,
Zda się żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,
Zda się ludzie drzemali, a całe ich życie
Upływało powoli i nierozmaicie,
Tak Litwin niepoczesny, tak zwiesił coś głowę...
Ho! ho! zapytaj dziejów, zbierz wieści domowe,
I co mędrzec zapisał, i co prządka gwarzy,
A poznasz, jak na zimnej i spokojnej twarzy
Odkryć gorącej myśli tajemnicze piętno.
O! i poważna Litwa umie być namiętną...
Tutaj znać burze życia na obliczu starém...
Kolejno z pługiem, z krzyżem, z mieczem, lub z puharem...

To w modlitwie, to doma, to między cudzemi
Ruchawe pędził chwile mieszkaniec téj ziemi.
A ile doznał przygód! — i sam nie spamięta;
Czasem bywa ich powieść serdeczna i święta,
Czasem wypadek krwawy lub tchnący swawolą,
Niekiedy taki śmieszny, że aż boki bołą.
A pamiątkę tych przygód — co krok to znachodzę!
Každy kopiec na gruncie, každy krzyż przy drodze,
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką — i wszystko ci poda
Jakaś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzien zapomina,
Albo widząc nie widzi, a słysząc nie słucha,
Kto rodzimém powietrzem nie napoił ducha?!

Ej, bolesno, bolesno! — Czemuż to, mój Boże,
Lirników i gęślarzów miało Zaporozie?
Czemu na naszych polach nie zjawia się tacy,
Jak bardy kaledońscy, jak greccy żebracy,
Co to każdą pamiątkę w rodzinnym zakresie
Zaraz w pieśnię ułoży i na świat rozniesie?...
Nas Pan Bóg nie obdarzył talentem śpiewaczym:
My domowe pamiątki kamieniami znaczym.
Co ten kamień?? — zaginie, jako ziemia marna,
Zarośnie mchem zgrzybiałym lub pójdzie na żarna,
A podanie zginęło. — Ejże, jako żywo!
Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo
Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
Od czasów Mendogowych do dzisiejszej doby,
Od baszty w krewskim zamku, gdzie legł Kiejstut stary,
Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci lub Szczary,
Co wzniosła po topielcu wioskowa gromada
I dotąd o tym krzyżu cuda rozpowiada.

Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa!
Z każdej ludziom nauka, płacz albo zabawa;
A pamiątka i pieśnia, przywiązana do niéj,
Zawsze duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni.

* * *

Otoż podanie z jednéj litewskiej mogiły
Skladam dzisiaj w twe ręce, czytelniku miły.
Choć kształtem rymowanym oblokłem to dzieło,
Nic się gwoli końcówce prawdzie nie ujęło.
Prawdziwa, w rymotwórcze koncepta uboga,
Powieść urodzonego Jana Dęboroga:
O rotmistrzu pancernym i jego mogile,
I jako się upiorem błakał przez lat tyle;
O starym Dęborogów z Brochwiczami sporze,
I o zgodzie serdecznój, — o defnitorze,
O świętych jego cnotach, nauce i pracy
(Czemuz częściej kapłani nie bywają tacy?), —
Słowem, całą gawędę z upłynionéj chwili,
Jako niżéj ujrzycie, czytelnicy mili,
Powiadał mi obszernie i w niedawnym czasie
Urodzony Dęboróg, kiedy na popasie
Poznałem go raz pierwszy, — zda się człek statysta,
Z oczu widać szlachetność, mina zawieszista,
A dziś już obywatel, małżonek i ociec.
Ale czy prawdę mówił — z kąd ja mogę dociec?
Więc nie chcąc odpowiedzi brać na własną głowę,
Żem coś zmyślił lub dodał w powieści ośnowę,
A pragnąc w całym kształcie oddać tę gawędę,
Własnymi jego słowy opowiadać będę.

URODZONY
JAN DĘBORÓG.

I.

Pod niegminną i niepodłą
Urodził się gwiazdą:
Herb Dęboróg nasze godło,
Stary Polesz nasze gniazdo.
Z dziadów, z ojców w naszym rodzie
Zawsze były łaski boże;
Szlachta drobna, lecz zasobna,
Krzywo pisze, prosto orze,
Procesuje, strzeże kopców,
Lasy pali, Boga chwali
I hoduje walnych chłopców.
W naszym rodzie, jak w ogrodzie,
Pełno główek, jak makówek;
Znają ludzie każdą głowę,
I urzędów mamy dosyć;
Ale cóż się z nich wynosić,
Kiedy wszystko powiatowe?

O nim podanie domowe
Taką powieść zachowało:
 Że ostatnią czyniąc wolę,
Kazał przywieźć swoje kości
Do ojczystej posiadłości,
Na wioskową naszą rolę;
Że pogrzebu kościom życzy
Nie we sklepie lub w kościele,
Lecz gdzie żytni łąn się ścięle,
Gdzie z sąsiadem grunt graniczy;
Aby kurhan nad mogiłą,
Niby kopiec stał ochrończy,
A na wieki znacznie było,
Gdzie poletek nasz się kończy.
Jego wola uroczysta
Wypełniona jak należy.
Przeminęło lat ze trzysta,
A od starca do młodzieży
Każdy jeszcze dziś pamięta
Grób rotmistrza — kopiec z darni,
A sąsiedzi gospodarni
Znali, że to miedza święta,
Że przywłaszczyć ztąd nie wolno
Choćby jedną skibę rolną.
 Tuż' za kopcem stał dwór cudzy,
Ale gruntów nam nie spaszą:
Bo panowie i ich słudzy
Szanowali własność naszą,
Bo wiedziano, że wybrzeże
Stary dziedzic z grobu strzeże.

II.

Jak mogę zapamiętać — od najrańszej chwili
Z sąsiadami z za kopca nigdyśmy nie żyli;
Nigdy na naszych ucztach nie byli przytomni,
Mój ojciec nigdy o nich i słówkiem nie wspomni:
Dwa dworki, choć od siebie w mecie niedalekiéj,
Zdaje się grób rotmistrza rozdzielił na wieki.

Jeszcze dzieckiem pamiętam, jak to było gwarno,
Kiedy ściany domowe gości nie ogarną,
Tam przy matce matrony, tu przy ojcu męże,
Wre gwar, brzęczą kielichy, stukają oreże;
Wije się krasnych strojów barwa uroczyta,
Jako kwiaty na łące, gdy je wietrzyk chysta.
Ojciec wesół, że strzecha ożywiona nasza,
Miód i wino rozlewa i gości zaprasza,
A sam z gośćmi zasiadłszy przy winie lub miodzie,
Rozpowiada o panu trockim wojewodzie,
Przy którym, jak zwyczajnie szlachta niebogata,
Szukając klienteli, spędził młode lata.
I promienieje starzec, kiedy gwarzyć zacznie.
Niechże kto o sąsiadach przypomni niebacznie,
Lub o grobie rotmistrza — wnet się ojciec zmienia,
Jak gdyby go ubodły ciężkie przypomnienia.
Wnet poblednie jak ściana, głowę spuści smutnie,
I oblicze nachmurzy, i rozmowę utnie,
I gryzie gniewne wargi — nudzą go przytomni;
Chyba że ktoś trockiego wojewodę wspomni,
Wtedy ojciec, nie bacząc, że mu serce boli,
Odzyskiwa wesolość powoli... powoli.

W końcu umarł nasz sąsiad — cóż państwo powiecie?
Ojciec, co go nie lubił, póki żył na świecie,

Po śmierci mu wyplacał, jak gdyby hołd dłużny,
Zapomogę z modlitwy, postu i jałmużny;
Zakupił msze żałobne, krył się od gromady,
A chodził zamyślony, ponury i blade.
Bywało, kto w sąsiedztwie zamknął w Panu oczy,
Mój ojciec w uczynności braterskiej ochoczy,
Śpieszy i losem sierot troska się najczuliej,
Owdzie wdowę pocieszy, tam dziatwę utuli,
Zajmuje się pogrzebem, gospodarzy w stypie,
I gawędki o trockim wojewodzie sypie;
A tutaj, chociaż smutek wpił się mu do głowy,
Nie pojechał na pogrzeb, nie pocieszył wdowy,
I odzywał się słowy gniewnego rankoru,
Kiedy wspomną nazwisko sąsiada lub dworu.
Raz, widząc, że ochłonął z gniewu i rozpaczy,
Spytałem go nieśmiało: co to wszystko znaczy?
Czemu zwykle tak dobry, ochoczy z usługą,
Na sąsiadów z za kopca gniewa się tak długo?
Dla czego, gdy się gniewa w jednostajnej mierze,
Umarłego sąsiada żałuje tak szczerze?
Dla czego, gdy żałuje, dwór omija z dala,
Nic o zmarłym nie wspomni i nam nie pozwala?
Tu się ojciec zapłonił, potem zbladł jak ściana:
— „A zkadże ta ciekawość? — At, *proszę aspana*,
„Młokos jesteś i kwita, wścibiasz nosa wszędzie!
„Jak ci z laty rozumu do głowy przybędzie,
„Jak na skórze zużyjesz różeg całą puszcę,
„Wtenczas, *proszę aspana*, całą rzecz wyluszcę.
„A tymczasem wiedz, błażnie, i zapisz to w głowie,
„Że nie ja, ani sąsiad, lecz nasi przodkowie,
„Może to prapradziady, mieli z sobą waśnię,
„I wnukom przekazali gniew, co nie wygaśnie

„Póty z naszego serca — dopóki wystarczy
„Naszych imion szlacheckich i herbów na tarczy.
„Wiele wody upłynie, długie przejdą lata,
„Nim się w końcu Dęboróg z Brochwiczem pobrata,
„A o tamtych zatargach pamięć i nauka
„Z ojca pójdzie na syna, a z syna na wnuka,
„I chyba który z rodu... At, i gadać szkoda!
„Coby to rzekł, mospanie, trochę wojewoda,
„Że się młokos u starca tak zuchwale pyta?
„Nie rozumiesz tych rzeczy — więc milczeć i kwita.”

III.

Byłem już sobie rosłe pachole,
Runiał mi wąsik na krasnej twarzy;
Czas był do szkoły — ale o szkole
Mojemu ojcu ani się marzy.
A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie:
— „Proszę aspana, czas wyśmienity,
„Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
„A gdzie się uczyć bez Jezuity?
„Minęła wiara i karność stara,
„Po szkołach jakieś nowotne dzieło,
„Nie masz łaciny, nie masz Alwara,
„Równy z Alwarem — wszystko zginęło.
„Ksiądz Jezuita niegdyś dobitnie
„Wrażał łacinę i karność w dziecię;
„Przetoż bywało i mądrość kwitnie,
„I lepiej jakoś było na świecie.
„Przodkowie nasi ztąd mieli ducha,
„Ztąd wiekopomne tworzyli cuda;
„Dzisiaj bez różgi moralność krucha,
„Z pijarskich książek łacina chuda.

„Synabym w domu nie trzymał dłużej,
„Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie:
„Dać do konwiktu możność nie służy,
„Uczyć przy farze jakoś nie chce się;
„Zwłaszcza gdy człowiek z dawna pamięta,
„Że dom nasz bywał w świetniejszym stanie;
„Byliśmy w szkole między panięta,
„Chłostę na perskim brali dywanie.
„A dziś... mój dziedzic... biada nam, biada!
„Daremno człowiek ratunku szuka,
„Codzień to ciężej ród podupada
„Z ojca na syna, z syna na wnuka.
„Proszę aspana, uczyć się pora,
„Lecz nie masz za co, nie masz widocznie.
„Uproszę księdza definitora,
„Niech bakałarzyć nad tobą pocnie.
„Kształć się w łacinie i świętej wierze,
„Nim pójdziesz do szkół wedle zwyczaju —
„Może się u mnie grosiwo zbierze
„I Jezuici wrócą do kraju.”

IV.

O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek boży mieszkał w tej chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi,
I wziął w opiekę kościół ubogi,

Wziął półwłócz gruntu — i na téj ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz bywało widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannéj porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże!
Dwa chromiące kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc pacierz łaciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:
„Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
„Masz waszeć, bratku, prace domowe,
„Ja sam chcę orać pole ojczyście!“
I tak modlitwę szepcząc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, późnie.
Na jego sznurach najlepiej rodzi,
Jego przekosów nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota,
Jakby wyrocznie mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór, pogoda, słota, —
Ksiądz definitor zawsze przepowie.
I cóż dziwnego? — wszak jego oko
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
Podpatrzył, przecztał niebieskie tajnie;

Może mu nawet w samotnej celi
I Święci Pańscy coś poszepnęli.
Kiedy śpiew starca zadrzał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucza ogarnie,
Rzekłbyś: apostoł — kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłumaczył ze świętej księgi:
„Jak to pokorny Zbawiciel świata
„Składa Majestat bożej potęgi
„I w ciele ludzkim z człkiem się brata,
„Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
„Między grzeszniki siada do stołu,
„I daje siebie przybić do krzyża,
„I składa ciało w człowieczym grobie,
„Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
„By nas uzacnił, podniósł ku sobie.
„A u nas, szlachcic — jasne wielmożę,
„Rad, że mu herby dała ojczyzna,
„Bóg został człkiem, a on nie może,
„Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
„Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
„Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
„Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
„Za jeden puhar starego wina
„Głodna i chłodna chłopska rodzina
„Na rokby miała chleba i soli.
„Za jedno słówko, w najmniejszej rzeczy,
„Pany się waśnią, idą na noże;
„Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
„Bo nie dla niego honor człowieczy!“
Tak to, bywało, głośno i śmieie
Ksiądz definitor gadał w kościele.

Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga;
W oczach — do braci prośba za braćmi,
Albo za ludźmi prośba do Boga.
Ani przeklina, ani się dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawia przed oczy, —
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.
A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakręśli,
Nim w trybunału kratkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,
I tak przekona, i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach! długo
Będzie spokojne sumienie twoje, —
Będziesz skwapliwy z bratnią usługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce.... och! popamięta,
Że w niém złożona Hostya święta!
Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedzał pobliskie domy;
Z dala poznał definitora
Po kapeluszu z zielonej słomy.
Za cieniem wzniosłej, świętej postawy
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko;
Jak owca biały i kędzierzawy,
Pamiętam, *Servus* jego nazwisko.
A ksiądz czeczotką kroki podpiera,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.



Za cieniem wzniosłej, świętej postawy
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

On i w pałacu, i w prostej chacie
Pomagał, radził, krzepił na duchu,
Z panem i z chłopem za-panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

V.

Ksiądz definitór był kapłanów wzorem —
Ojciec mój chodził najpocziwszą drogą;
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy bywało zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spowiada,
Ksiądz definitór wiecznie nas ominie,
A gdy się zejdą trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłócą po łacinie.
A ojciec mówi:— „At, proszę aspana,
„Ksiądz i pocziwy, lecz pożał się Boże,
„Tak mu do grzbietu przyrosła sutana,
„Że o szlacheckim zapomniał honorze.
„Nie sztuka zrzedzić — ale Bogu dzięki,
„Moje sumienie nieskalane wcale;
„Gdyby przynajmniej Statut wziął do ręki,
„Proszę aspana, tam w czwartym rozdziale,
„Jak wolem pisze o ziemskiej dawności: —
„Kto przez lat dziesięć dóbr się nie dopomni,
„Niech później do nich i prawa nie rości,
„Ni on, ni dzieci, ni dalsi potomni.
„A toż mospanie od początku dzieła
„Może dziesiąta dawność upłynęła.
„Z dziadów, z prawnuków szło dalej i dalej,
„Czemuz się pierwój nie upominali?

„Co wzięłem z ojców, muszę strzedz jak głowy,
„Muszę w całości przekazać méj dziatwie
„Grunta po miedzę, gdzie grób rotmistrzowy,
„I całą sprawę, której nie załatwię, —
„Bo jest przysłowie: że do końca świata
„Herb się Dęboróg z Brochwiczem nie zbrata.
„Ksiądz definitor napomina srodze,
„Bym oddał grunta aż do samej rzeki;
„Proszę aspana, toż minęły wieki,
„Nie jam ukrzywdził, nie ja wynagrodzę.
„Przodkowie nasi graniczyli miedzą
„I mieli proces o sąsiednie niwy;
„Przodkowie nasi Bogu odpowiedzą,
„Pan Bóg rozezna, kto prawy, kto krzywy.
„Może już dotąd gdzieś przed Panem Bogiem
„Dawno się Brochwicz zbratał z Dęborogiem;
„Lecz tu, na ziemi... to wcale inaczej.
„Proszę aspana, i honor coś znaczy,
„Honor szlachecki.

„Ale to najgorzej,
„Że ksiądz tak żywo bierze sprawę wdowy
„Puka mi w serce swojemi namowy
„W imię sumienia i bojaźni bożej,
„Bym zwrócił grunta; — ja gruntów nie zwrócę...
„Proszę aspana, lecz tu sęk u licha,
„Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
„By chciał mi syna przyjąć ku nauce.
„Bo już co prawda, to wyznać potrzeba,
„Że jego głowa przemądra, choć stara, —
„Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,
„A cnoty — chyba od samego Nieba;

„Uczony, skromny, pracowity, szczerzy,
„Czysto jak Święty Franciszek Ksawery.
„O! dla młodego taki mistrz nielada,
„Święte w tych rękach boćkowskie narzędzie,
„Lecz iść i prosić, nie wiem czy wypada,
„Bo jak odmówi, to jeno wstyd będzie.”
Taka w mym ojcu toczyła się walka,
Wreszcie kabała rozstrzygnie ją może;
Więc ujął karty, liczy: tuz... król... kralka...
Z kart wyszło dobrze — idźmy w imię boże.

VI.

Ksiądz definitór próśby wysłuchał wesoło,
Ścisnął ojca, mnie ścisnął, ucałował w czoło,
I rzekł: — „Zostań tu chłopcze, ucz się w imię boże!
„Wszystką miłością w sercu, chlebem co w komorze
„I nauką co w głowie — choć jój tak niewiele, —
„Co Bóg dał, wszystkiem chętnie z tobą się podzielę!...
„Tylko że widzi waszmość — rzekł do ojca dalej —
„Ja stary mam narowy, a szlachcice mali
„Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,
„Bo dwa grzechy śmiertelne — lenistwo i pychę;
„A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
„Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
„Czy kto ma herb, czy nie ma — braciaśmy po prostu,
„Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chrostu,
„Chłopyśmy i parobki przed bożem obliczem! —
„Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,
„Jeść będziesz razem zemną, z nami czeladź jada,
„W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,
„Na polu mnie się w pracy nieraz dopomoże:
„Ja będę żał, ty w snopy związywał mi zboże;

„A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
„Z grammatyką łacińską i z Wirgiliuszem,
„Z konwią mleka i z chlebem — toż to będzie cudnie.
„Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
„Posilając się sobie pólki skwaru chwila,
„*Titire! tu patule...* tłómaczyć z Wirgila:
„Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą, —
„A szlacheć, co ma dzierżyć lud boży pod władzą,
„Gdy sam pozna w rolnictwie i róże i osty,
„Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
„A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
„Równiejsze będą skiby...”

VII.

— „Miłościwy księżu! —

Tak mu przerwał mój ojciec nadąsany srodze —

„Na to, proszę aspana, nigdy się nie zgodzę.

„Pracować to pracować, lecz herbowne dziecko

„Winno zawsze zachować powagę szlachecką

„W obec gminnych plebejów, co z wioski ród wiodą.

„Ot powiem jegomości — z trockim wojewodą

„Raz taki był przypadek: — Jak jegomość wiecie,

„Na poleskich jeziorach, w bujnym oczerecie,

„Lęgną się stada kaczek. Panu wojewodzie

„Zamarzyło się z wioski sprowadzić dwie łodzie

„I ruszyć na jezioro — w jednej szuhalei

„Byłem ja, pan Belina i dojeżdżacz z kniei;

„A w drugim czólnie starém i popsutém wielce

„Jechał sam wojewoda, wyżeł i dwa strzelce.

„Wpływamy na głębinę, — wtém... zawietrzył w stronę

„Wyżeł, psisko niekarne a wielce pieszczone,

„Obaczył stado kaczek — więc bestya skora
„Machnął tylko kosmykiem... i buch do jeziora!...
„Stara łódź się pochysta, już złopnęła wody,
„Tonie... gwałtu! ratujcie! nie masz wojewody!
„Jeno kędyś pluchocą w rozhulanój fali
„I on sam, i myśliwcy, którzy z nim jechali, —
„Jeno, proszę aspana, z falami się miesza
„Jego suta, zielona ze srebrem bekiesza. —
„Pan nie pływał, bo tusza była na przeszkodzie;
„Lecz Poleszuk, jak ryba, nie zatonie w wodzie:
„Strzelcy się wydobyli za wspólną pomocą,
„Nogami depcą fale, pięściami je grzmocą,
„Płyną, proszę aspana, że aż widok miły.
„Jeden z nich, jak dziś pomnę, Hryćko syn Kiryły,
„Wynurzył się... odetchnął... dał nurka na nowo...
„I jako zgryźć orzecha, jak powiedzieć słowo,
„Wybrnął z głębi i za czub wojewodę wlecze,
„Na którym ledwie piętno rozpoznać człowiecze.
„My w pław i do topielca... siłami wszystkimi
„Dawaj na brzeg wynosić i taczać po ziemi,
„Aż struga z wojewody leje się jak z kadzi.
„Pan bez zmysłów, bez pulsu — więc w całej czeladzi
„Przerażenie i popłoch; aż po długiej męce,
„Wojewoda odetchnął wznosił do góry ręce,
„I choć zaledwie żyje, zaledwie oddycha,
„*Te Deum laudamus* zabelkotał z cicha.
„Zaraz go nieść do zamku na barkiśmy wzięli.
„Nazajutrz wojewoda był zdrów po kąpieli,
„I wydał dla nas ucztę.

„Kiedyśmy przy miodzie,
„Wszystko opowiedzieli panu wojewodzie:

„Jak się czółen przewrócił, jak on wpadł do toni,
„Jak go fala unosi, jak go Hryćko goni,
„Jak nakoniec (niech będą wielbione Niebiosy)
„Strzelec go z topieliska wyciągnął za włosy.
— „Jak to! (krzyknął gniewliwie, nasrożywszy minę)
„Śmiała mię chamska ręka dzierżeć za czuprynę!
„Trockiego wojewodę! pana! dygnitarza!
„Gdzie ów śmiałek? — Sto batów! niech się nie odważa
„Na podobne zuchwalstwa — bo krew szlachty święta.
„Sto batów myśliwcowi! — niechaj zapamięta,
„Że szlachcie chociaż w ogniu, albo w wodzie ginie,
„Wara przedsię chłopowi ku jego czuprynie!” —
„W końcu nieco ochłonął — musnął się po głowie:
— „Ale żem ja niewdzięczny, niechaj nikt nie powie.
„Panie rządco! ja Hryćkę kwituję z pańszczyzną —
„Dać mu na całe życie włókę gruntu żyzną,
„Niechaj wiedzą włościanie, że jeden w ich rodzie
„Trockiego wojewodę salwował w przygodzie!
„Lecz że za czub mię dzierżał swoją chamską dlonią,
„Sto batów niech wyliczą a liczby nie ronią.” —
„Więc Hryćko syn Kiryły wziął sute nahaje,
„A nam szlachcie na wieki nauka zostaje,
„Co rozumieć o naszym herbownym splendorze.
„Lecz jegomość się zżymasz?... Ej definitorze!
„Wybij z szanownej głowy swe dziwne pochopy,
„I dziecka szlacheckiego nie zrównywaj z chłopcy,
„Bo na to nie pozwolę. Łaska waszmościna
„Za mój grosz jako tako poduczyć mi syna:
„Dobrze, proszę aspana; lecz jeśli mój Janek
„Ma się uczyć przy snopach łacińskich sielanek,
„Razem z chłopstwem zasiadać do misy i chleba,
„Dziękuję — mnie łaciny takiej nie potrzeba.



Wybrnął z głębi, i za czub wojewodę wlecze,
Na którym ledwie piętno rozpoznać człowiecze.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

„Niechaj się sobie w domu choć po prostu modli,
„Lepiej niech będzie głupim, — a rodu nie spodli.”

VIII .

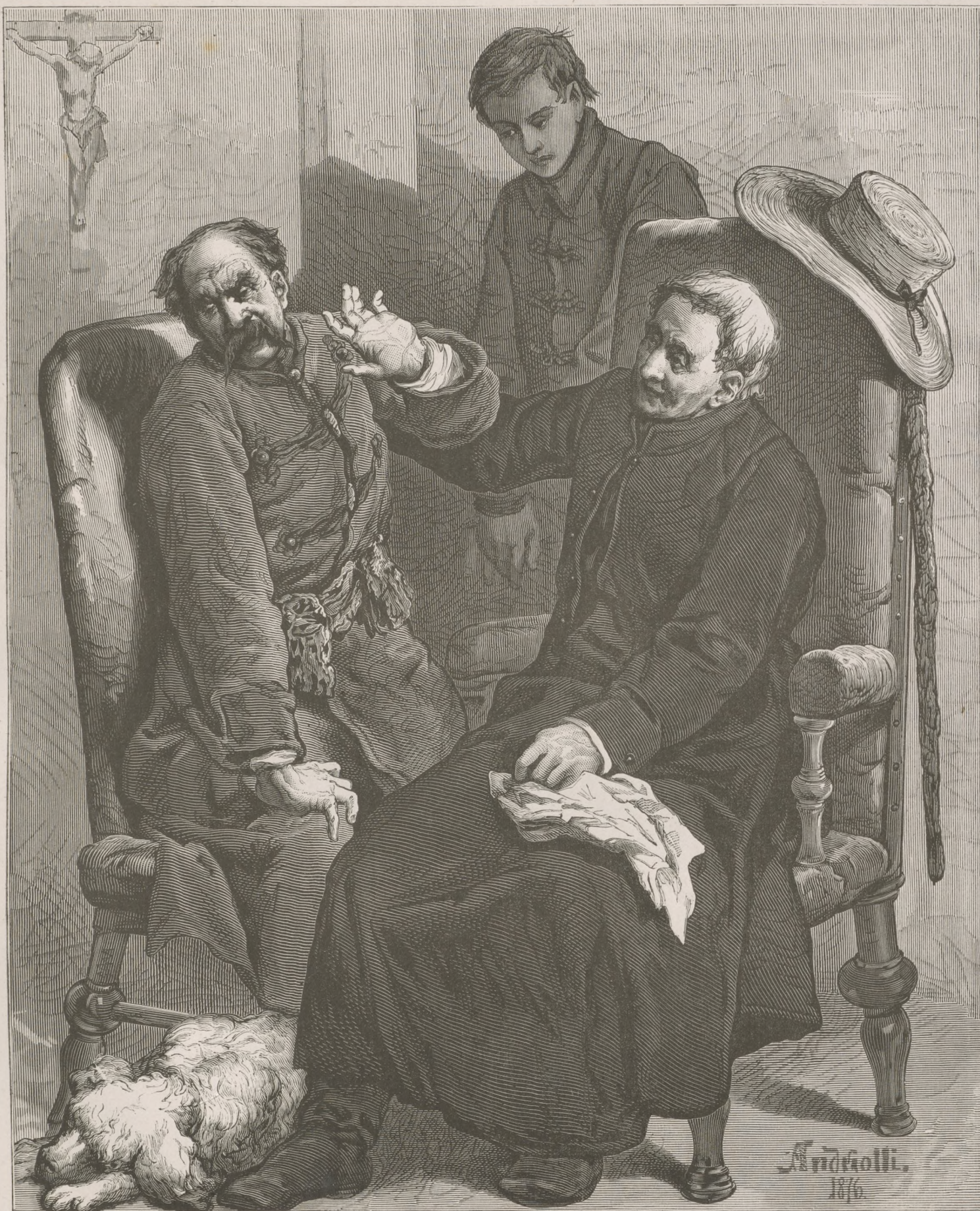
— „Znam, panie Pawle, te szlacheckie pieśni —
Rzekł definitor, śmiejąc się boleśnie —
„Lecz pozwól waszmość...” Co tam mówił dalej,
Mogli zrozumieć chyba wszyscy święci;
Bo po łacinie starce już gadali,
Obadwaj żwawi, obadwaj zawzięci.
Ksiądz głową kiwa, ojciec ręką trzęsie,
Godzina, druga upływa na swarze —
W końcu przy piwku i przy sztukamięsie
Podali sobie ręce adwersarze.

Snadź się mój ojciec wysilił w gawędzie,
Dał się przekonać chociaż z wielką biedą,
Bo tylko mówił: — „*Concedo! concedo!*
„Proszę aspana, niech już i tak będzie.”
Potém rzekł do mnie: — Tutaj cię porzucę;
„Słuchaj i kochaj cnotliwego księdza,
„Sprawiaj się pilno w pracy i nauce,
„Honor szlachecki niechaj cię przypędza,
„Zresztą leniwca ksiądz niech smaga batem,
„Bo mu *paternam* zdaję *potestatem!*”
To mówiąc, ręką do kieszeni zmierza, —
Spojrzałem, zbladłem, zadrzałem od mrowi:
Boćkowski rzemień zwinął do talerza
I przez stół podał definitorowi.
A ów rzekł, biorąc straszliwe narzędzie:
— „Ufam, że nigdy potrzebny nie będzie.”

IX.

Nie taki szatan straszny, za jakiego słyńie,
Jak go czasem malują węglem na kominie;
Tak i z moją nauką. Pojętność, pokora,
Prędko jakoś trafiły w myśl definitora;
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu,
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu...

Bywało, skoro jutrznia błysnie na lazurze,
Stary ksiądz już w kościele — ja mu do mszy służę;
Potém dziady grzanego piwka nam przyniosą,
I ruszamy na łąkę z grabiami i z kosą,
Albo wzięwszy węcierze, idziem ku zatoce
Patrząc, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce.
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fala falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy,
W obłoku słowik śpiewa lub żuraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch z nad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody;
Wprzódy uniosłszy ducha, wspomina imiona
I prace Kopernika, Lineja, Newtona,
I tłumaczy mniej z książki a więcej z pamięci:
Wedle jakich praw ruchu nasz globus się kręci?
Jak snują się w przestrzeni światów miryady?
Co jest grom, błyskawica, i śniegi, i grady?
Jak się obiega ziemię w żeglarskiej podróży?
Jak się ów ptak nazywa? k'czemu kwiat ten służy?—
A ja siedząc oparty na kłodę olchową,
Piję łapczywém uchem każde starca słowo,
I pilno każde słowo w pamięci zasklepię.
A tymczasem już szczupak w węcierzu się trzepie,



— Znam, panie Pawle, te szlacheckie pieśnię —
Rzekł definitor śmiejąc się boleśnie; —
Lecz pozwól waszmość...

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Więc wyciągamy kosze, powracam do chaty
Z pełném sercem i w nową wiadomość bogaty;
A starzec szczęśliw zemnie, na końcu mi gwarzy,
Z jakimi przyprawami szczupak się uwarzy,
Aby smaczny był obiad. Dalej kształcąc wiedzę,
Godzinę albo drugą nad książką posiedzę,
I znowu do roboty na łąkę zieloną,
Lub na pole szerokie z sierpami lub broną.
Tam dla mnie wszystko nowość kędy okiem rzucę;
Starzec wszystko obracał ku mojej nauce,
Opowiadał dobitnie, jasno a powoli,
O własnościach powietrza, klimatu i roli,
O pracach ludzkiej ręki i bydłeczej szyje,
Ile się jeszcze bogactw w łonie ziemi kryje...

Na takich pogadankach płynie chwila chyża,
Ani ujrysz jak słońce ku ziemi się zniża,
Jak całodzienna praca już do końca blisko,
Jako się snop przy snopie składa na ściernisko.
Wtedy złożywszy kopy, wracamy do wczasu,
Nóćąc psalm staroświecki Jana z Czarnolasu;
Wtórują nam dziadowie i żniwiarze z wioski,
Aż się puszcza rozlega od hucznej pogłoski.

X.

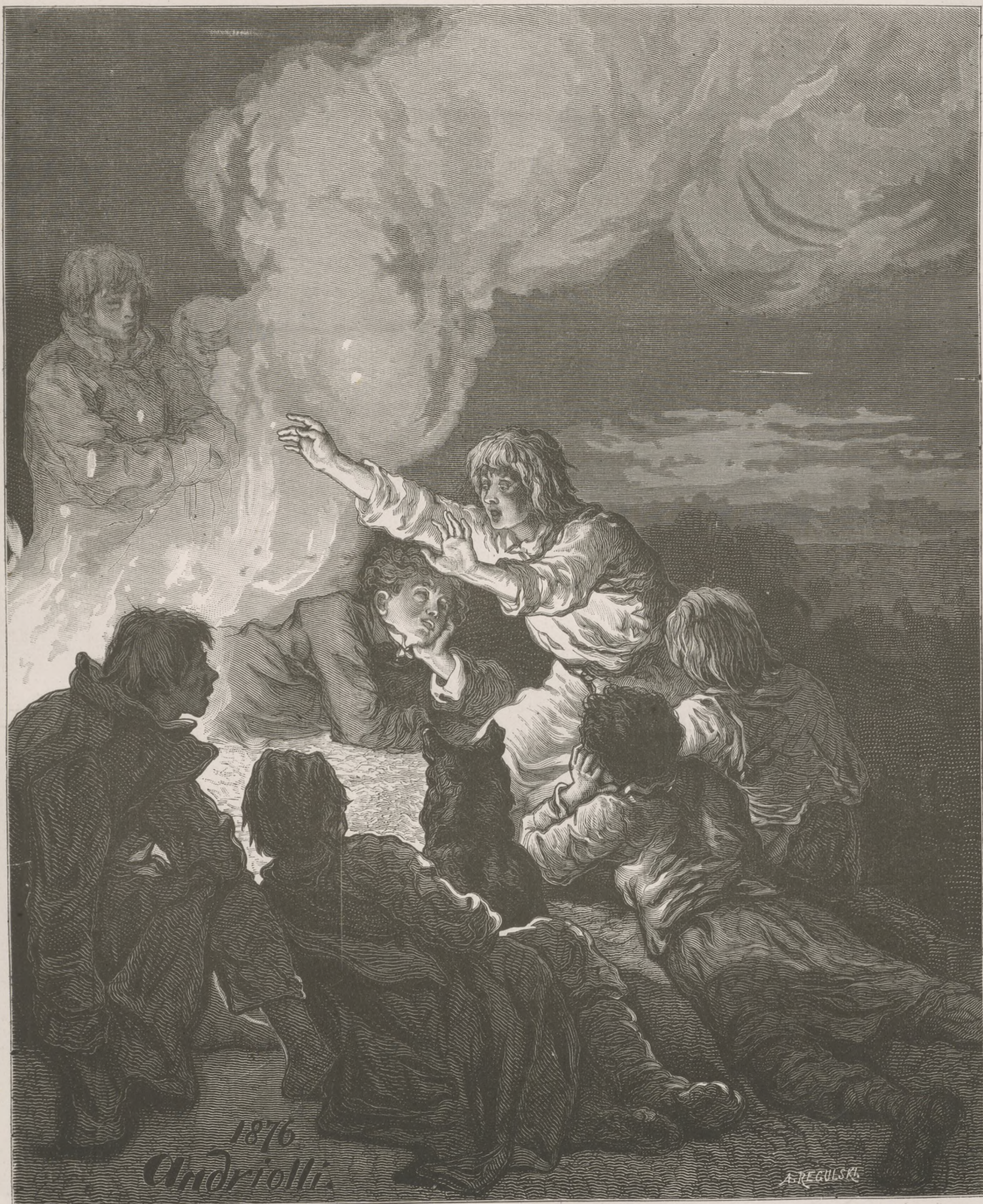
Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,
Z wiejskimi chłopcy, z tabunem koni,
Lecim na nocleg, śpiewając skocznie.
Aż za wioskę, aż za zboże,
Na wygonie lub ugorze,

Konie w paszę z rąk —
I już chłopcy w jednej chwili
Stosy chróstu nanosili
I zasiedli w krag;
I ziemniaki w żarze pieką, —
Płomień bucha — ej daleko
Widać ogień nasz!
Co tam śmiechu, co tam wrzasku!
Ktoś upiorem straszy z lasku, —
Człowiek ani dbasz.
Choć kto w dzień się namozoli,
Choć drugiego serce boli,
To najmniejsza rzecz.
Bo gdy ludno, pusto, gwarnie,
Smutek duszy nie ogarnie,
Wszelka bojaźń precz.

Na rosnęj trawie rozścielamy suknie,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,
I chór: „Dobranoc o Jezu!” jak huknie,
Tak aż się echo w olszniaku zatrząsie.

I daleko po równinie
Świętej pieśni echo płynie.
Czasem słowik wtór nam poda,
W sercu rzewność tak głęboka,
Ani ujrzysz, gdy ci z oka
Łzy poleją się jak woda.

Człowiek rzeźwiejszy po świętej pieśni
Do nowych śmiechów, do pogadanek;
We wsi już kury pieją poranek,
A o spoczynku żaden z nas nie śni.



Stosy chróstu nanosili
I ziemniaki w żarze pieką...

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Bo jakże usnąć w majowe noce?
Tu konie zarzą, tu ogień błysnie,
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce.

Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci, — a gromada
Pieśni, skazki opowiada,
Skazek, pieśni bacznie słucha.
Miłoś w kółko sieść na ziemię,
Gwarzyć w ptactwa słodkiej wrzawie!
Jeden, drugi niby zdrzemie, —
Miłoś drzemać na murawie!
Ptactwo milknie po kolei,
Ogień z wolna gasnąć zacznie,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale bacznie!
Każdy słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,
Brząknie trzęzłą, wstrząśnie grzywą,
Albo zarzy na uboczy.

Po chwilec drzemki oko się przetrze:
Blizko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki;
I koń już częściej stuka w kopyta,
Zroszoną trawę pośpieszniej chwytą.
Cyt! już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dzionkiem;
My za słowikiem i za skowronkiem
Nóćim: „Zawitaj ranna Jutrzenko!”

Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżyca,
Ot i zorza jak dziewica
Miłą barwą rumienieje;
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania;
Ranny ptaszek dziad kościelny
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie dzwon daleki
W mgłach porannych się rozplywa!
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa!

Słońce ognistym błysło promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem,
A niebo w złocie, w różach, w błękicie,
Ziemia w zieloność strojna wesolą,
A człowiek wtedy patrząc w około,
Stałby jak wryty przez całe życie.
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Aniby sobie przypomniał kiedy,
Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,
Że on nic więcej — zlepek gliniany.

Hej! do domu czas już pewnie:
Konie syte nocną paszą, —
My weseli, hukniem śpiewnie
I porzucim łąkę naszą.
I wtórując trąbką z rogu,
Na wyścigi, hej przez rowy! —
Ot i nocleg nasz majowy, —
Śpieszmy oddać chwałę Bogu.

XI.

A kiedy święto lub deszcz z pola spędza,
Chłopcy się tłoczym, ile chata zmieści,
I ciasném kółkiem otaczamy księdza,
By nam gawędził odwieczne powieści.
A jego pamięć uczona, bogata,
Odsłania dzieje biblijne, najstarsze,
Kreśli nam potop lub stworzenie świata,
Albo szczęśliwe wieki patryarsze.
Jesteśmy zda się w rozmarzeniu złotém
Pod Abrahama pasterskim namiotem,
Płaczem z Józefem gdy się więźniem czyni,
Błądzim z Mojżeszem w arabskiej pustyni.
Dopieroż słuchaj, kiedy głos podnasza,
Gdy stare piersi zapalem odżyja,
Głosząc z proroków przyjście Messyasza!
Aż się radujem z anioły, z Maryą,
Teżymy słuch nasz, jak zgłodniała rzesza,
Gdy tysiącami za Chrystem pośpiesza.
My w wieczniku, my z Panem w ogrodzie,
Z Matką pod krzyżem nasza dusza gości, —
W świętej boleści, co nam duszę bodzie,
Uczym się ducha niebieskiej miłości.
Tak nas ów obraz do niebios przybliża,
Człekby się chętnie dał przybić do krzyża...
Niekiedy starzec, na dłoni oparty,
Rzekłbyś Herodot wśród pokoleń nowych,
Kreśli nam dzieje Atenów lub Sparty,
Czasów Likurga lub Peryklesowych.

Gdy kreśli przeszłość, to w takim kolorze,
Że ci się żywa przed oczami wyda,
Że tylko westchniesz: „O zeszlój mi Boże
„Życie Solona, albo Arystyda!”
Ileż to razy w długą noc zimową
Słyszane dzieje stawały mi we śnie!
Upiór przeszłości latał nad mą głową,
Było mi błogo, a czasem boleśnie.
Strach! gdy się głowa, gdy serce rozmarzy!
We krwi gorącej wre jakby w ukropie.
To śnię zborzysko italskich zbrodniarzy,
Jak wieczne Rzymu fundamenta kopie;
To zda się widzę, że krok ku mnie czyni
Pobożny Numa lub hardy Tarkwini;
Lub się w kościele Jowiszowym baczę,
Rzym jeszcze nie jest zepsutym służalcem,
W krzesłach senatu zasiedli brodacze,
Cycero zdrajców ukazuje palcem:
Drży Katyliną... A tam złoto ważą,
I leżą trupy, płyną krwi fale,
Na rzymskim forum Galle gospodarzą,
Kwiryci złoto niosą im na szalę,
A na tém złocie arcydziełem dłóta
Twarz rzymskich bogów i przodków wykuta.
Wtém szczęk żelaza, otwarły się wrota,
Nowa kohorta Rzymian się przeciska,
Kamillus wpada i szalę gruchota,
I dzikich Gallów spędza z targowiska;
Słysząc jak giną, jak pierzchają dzicy,
Słysząc szczęk mieczów po stalnej zbroicy.
A owo widzę, jakby wiejska chata,
I widzę starca, co orze z daleka;

Idę — poznaję Kwinta Cyncynata,
Przy nim miecz we krwi i konewka mleka.
Póki się woły popasły pod lasem,
On wrogów Rzymu zwyciężył tymczasem;
Precz zrzucił pancerz, znowu wziął opończę,
Śmieje się stary w wesołej gawędzie:
„Ot jeszcze dzisiaj zagonu dokończę,
„Posieję żyto — i niezgorsze będzie.”
Rzymski szlachcicu, dopomóż ci Boże!
Tak sobie myślę i znowu śpię smaczno.
Wtém nowe mary na młodzieńcze łoża
W innych postaciach nalatywać zaczną.....
I tak kolejno myśli mojej głowy
Na tysiąc sennych widziadeł się dziela.
Wtém przeraźliwie ach! sen mój dziejowy
Rozproszył kogut, piejąc nad pościelą.
— „Czas do roboty!” — Poznaję głos dziada,
Co zwykł mię budzić gdy godzina szara. —
„Ksiądz defnitor dawno już spowiada,
„Czas do mszy służyć — sen mara, Bóg wiara.”

XII.

Biegły me dni jak w niebie na takiej nauce,
Mniemałem, że już księdza nigdy nie porzucę;
Bo przeznac całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąc wszystkie cnoty, które w sercu nosił,
I za rok, i za drugi to jeszcze niewiele.
Ojciec przychodził do nas prawie co niedzielę,
Zaczepiał mię z łaciny — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa!

— „Muszę, proszę aspana, oddać cię do miasta,
„Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszasta,
„A tarcza z Dęborogiem wśród chłopstwa wytarta,
„Co kapelusz żydowski tyle będzie warta.
„Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie,
„Ażebyś z prostytutkami pracował na niwie,
„Staremu trzeba uledez, bo mnie zrzedzić zacnie;
„Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie
„I folgować swym rękóm — by znał gmin ciekawy,
„Że pracujesz nie z musu, jeno dla dla zabawy.
„Dłoń szlachcica stworzona dla miecza, nie żniwa,
„Krom rycerskiej zabawy niech wolno spoczywa.”

Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnej rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce.
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno;
Inszy świat definitor rozjaśniał przedemną,
Tam dla duszy przestronniej i sercu weselej.
Ojciec to zauważał, — więc jednej niedzieli
Na mszę przyjechał wózkiem, i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo,
I syna wraz zabierze. — Ja w płacz — nic nie służy:
Już wybiła bolesna godzina podróży.
Ksiądz mnie rzewnie uściskał, a tknięty mym płaczem,
Łzie ze starego oka dał płynąć cichaczem;
Żegnał i błogosławił ojcowskimi słowy,
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy,
Przeprowadził z pół mili aż ku wielkiej sośnie;
Stary *Servus* zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu — ruszyliśmy drogą,
Skrył się za górą domek, gdzie przeżył tak błogo,
Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

XIII.

Czém w polu zasiew, czém zawiązka w kwiecie,
Tém w życiu męża szkolne sześćościecie.
Trudno dziś skupić te drogie obrazy,
Choć się ich tyle do wspomnienia ciśnie,
Choć jeszcze teraz — po ileż to razy
Szkolną ławicę albo dzwonek przyśnię!
Niekiedy marzę, że nie umiem *Składni*,
A tu za chwilę wejdzie *ksiądz Łacina*.
Szydzą z méj biedy uczniowie przykładni,
Truchleję — bledną, aż krew mi się ścina,
Aż się rozbudzę; — ale gdy na jawie
Ochłonę nieco ze strachu szkolarza,
To w gorzkiem życiu słodko się zabawię,
Pierś orzeźwioną wspomnienie rozmarza.
Tak w skwarne lato oddychamy miło
Pod ciemnym klonem lub brzozą pochyłą.

Pomnę raz pierwszy gdym jechał do szkoły,
Jaką się trwozę w sercu przewycięża!
A ojciec prawi w gawędzie wesolej,
Jak to chłostali jezuitcy księża.
Przed rozognioną wyobraźnią dziecka
Stał Jezuita i poglądał srogo,
Ukrywał kańczug pod wełnianą togą,
A w jego rękach grammatyka grecka.
Takiemi strachy napelnia się głowa,
Chór Jezuitów groźnie mię otacza.
Tak gdy niebaczna piastunka wioskowa
Postraszy dziadem małego krzykacza,

To dziecko płacze gdy go w cerkiew wiodą,
Choć tam Pan Jezus we złocie i srebrze,
Lecz strach u progu — dziad z torbą i brodą
Wyciąga rękę i śpiewając żebrze.
Od tego dziecka nieweselszy zgoła
Ujrzałem mury, gdzie klasztor i szkoła,
Kędy mnie wiedli. Z bojaźliwą trwogą
Wszedłem za ojcem za fórtę klasztorną...
Na korytarzach nie było nikogo;
Przyległe cele godziną wieczorną
Grzniały w sto głosów; znacznie, żeśmy w szkole, —
Owdzie nauki, tam śmiech i swawole.

Tedyśmy weszli do jednej z tych celi.
Tutaj ksiądz prefekt mego ojca wita,
Z miłym uśmiechem, obleczonej w bieli,
Całkiem nie taki jak ów Jezuita,
Co w czarnej szacie i z groźbą na twarzy
Od kilku nocy w moich snach się marzy.
Snadź że wyczytał przestrasz z mojej miny,
Bo mię pod brodę pogłaskał łaskawie;
Potem z nienacka zapytał z łaciny,
Ja mu pijarską grammatykę prawię,
Jakby przed ojcem, odważnie, tak samo,
Bo wzrok łaskawy rozbudził mą wene —
Odmieniam *terra*, konjuguję *amo*,
Ksiądz prefekt chwali: *Bene puer, bene!*
Aż ojciec wesół, że syn tak rozbiera
Nomen, pronomem, verbum et caetera.
A jaka szkoda, o Boże mój, Boże!
Że tu nie wszyscy kogo serce kocha!
Czemuż cię nie ma, o defnitorze!
Moim tryumfem pocieszyć się trocha!

Widzieć jak rośnie, rośnie mi odwaga,
Jak mi się czoło rozjaśnia, choć późnie!...
Ksiądz prefekt bada — Bóg mi dopomaga,
Ja odpowiadam przytomnie i lotnie.
Przebiegł tablicę Pitagoresowe,
Kazał Rzym święty znaleźć na atlasie,
I rzekł poważnie, całując mię w głowę:
— „Wybornie, chłopcze — będziesz w drugiej klasie!”
Ojciec wesoły, że nam w jednej chwili
Koszt całoroczny i honor ocalał,
Wziął mię w objęcia — do swych piersi chyli:
— „*Proszę aspana!*...” i łzami się zalał.

XIV.

Gdzie wy jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszków i do murów klasy
Przygło, przyrosło na głucho?!
Gdzie wy drobne a wzniosłe mojej pychy cele,
By zrównać i prześcignąć najpierwszych w nauce?
Gdzie owo wśród igraszek serdeczne wesele,
Kiedy piłkę wysoko... wysoko wyrzucę?
Kiedy w gronie swawolném po równinach lecę,
By schwytać wyrzuconą albo odbić w górze?
Gdzie pobożność i wiara w Najwyższej Opiece,
Gdy się modłę w kaplicy albo do mszy służę?
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało,
Bóg to wie — krew po sercu ślizga się powoli,
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre niebardzo cieszy, złe niebardzo boli.

Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,
A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,
Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?
Gdzie wiara w twoją mądrość, księżu profesorze?
Wiara, z jaką słuchałem na szkolnej ławicy,
Kiedy ksiądz Matematyk zadanie rozbiera,
Lub kiedy ksiądz Łacina, mistrz na kazalnicy,
W błoto strąca Buffona, Russa i Woltera?
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
Ksiądz Fizyk wnet objaśni przez płyny i gazy?...
Przysięgnę, że to prawda, wychowańcze młody!
Że Pan Bóg księdzowskimi przemawia wyrazy.
Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,
Co jest białe? co czarno? co prosto? co krzywo?
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie przygłuszony ostem i pokrzywą.
Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może
Co jest fałsz, a co prawda? co szpetne, co piękne?
Człek załamuje ręce: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać, a przed czym uklęknę?
Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłeś w przyszłość płomienistą duszą,
Że choć nauka trudna, choć praca mozolna,
Lecz cele nasze wielkie, i spełnić się muszą!
A tu młodzież ochocza bada, czyta, pisze,
Złote bryły nauki wydobywa w trudzie;
Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze,
I pomyślisz: „Doprawdy, będziem wielcy ludzie!”
Jeden — dziecię pobożne, z zapalem na twarzy,
Będzie doktor kościelny — tak Pismo przenika;
Drugi biegły w rachunku, o przyrodzie marzy,
Przejdzie z czasem Newtona, dojdzie Kopernika;

To będzie Archimedes, cześć tutejszej ziemi,
On kwadraturę koła zgłębi i rozwiąże;
Inszy słynie na ławach wierszyki zręcznemi,
Będzie nowy Krasicki, rymotwórców książę.
Gdzie wy teraz jesteście, towarzysze moi?
Cicho o was na świecie! bo świat ciężka proba!
Żal się Boże bywało co ksiądz prefekt roi,
Że przybędzie krajowi światło i ozdoba.
Spotkasz czasem którego — spojrzysz na oblicze: —
Nie on, nie on szlachetne spodziewania ziści!
Porwany w namiętności koło tajemnicze,
Oddał przyszłość za marne obecne korzyści!
Zszargały mu oblicze nałogi lub nędza, —
Ów co miał drogę słońca odmienić na niebie,
Ów co miał zostać wieszczem — w śnie życie przepędza,
Chodzi mrówczemi drogi — i kontent sam z siebie.
A toż bywało o nim ksiądz Retoryk szepce,
Że ów chłopiec rozwija olbrzymie talenta,
Że Pan Bóg wielkich ludzi naznacza w kolebce,
Że Cezar dzieckiem jaśniał nad rzymskie chłopięta.
A ów teraz bohater poluje na zwierza,
Miłość go rozbydłęca, kielich z nóg obala;
Pan wioski — srogie chłosty wieśniakom wymierza,
Albo drzemie po uczcie Heliogabala.
Aż ci się serce ściśnie, aż się łza poleje...
Precz te smutne uwagi o człowieczej doli!
Ja miałem opowiadać moje szkolne dzieje,
Teraz siła nie starczy i żal nie pozwoli...
 Ot sześć latek przebiegło jakby chwila cicha,
Corocznie nowe trudy i nowe rozkosze,
Co rok głowa bogatsza a serce usycha,
Co rok nowe świadectwa na mądrość przynoszę.

A gdy po chlubnym roku przyjadę na lato,
Niebem mi się wydaje nasza wieś uboga;
Składam ojcu świadectwa — dziękuje mi za to,
I mówi, że dostojen herbu Dęboroga.
W niedzielę idziem z ojcem do starego mnicha —
Tam gdy gradem mądrości na przytomnych rzućę,
Aż się ojciec raduje i wesół uśmiecha,
Aż się dziady kościelne dziwią méj nauce.
Tylko ksiądz definitor na te korowody
Potrzęsa siwą głową, — więc ojciec go pyta:
— „Nie prawdaż, zacny księżu, iż Dęboróg młody
„Skończy szkoły uczony jakby Jezuita?”
— „Tak — rzecze definitor — zna wszystko po trosze,
„A gdzie nie ma zdolności, tam pracą okupi;
„Braknie mu jednej rzeczy...” — „A czegoż to, proszę?”
— „Mądrości sokratycznej — poznania, że głupi.
„Lecz z czasem i to przyjdzie — duma zniży rogi,
„Kiedy prawdziwa mądrość przetrawi się w głowie...
„Tymczasem daj mi rękę wychowawcze drogi —
„Nie gniewaj się na starca, gdy ci prawdę powie.”

XV.

Gdym skończył szkołę — po świętym Pietrze
Ojciec mię lekko trzepiąc po grzbiecie:
— „Słuchaj — rzekł — Janie! nim ci się przetrze
„Jakiś tam zawód na bożym świecie,
„Dam ci zabawkę — i co się zowie,
„Co nie poniży herbowne dziecko,
„Przez którą starzy Dęborogowie
„Zyskali niegdyś godność szlachecką.

„Bartosz Paprocki w swych herbów zbiorze
„Pisze zkąd nasze godło urasta:
„Jak na Zygmunta Augusta dworze
„Był *quondam* strzelcem nasz protoplasta;
„(Proszę aspana, dzielny myśliwy
„Na pańskich dworach zawsze jest w cenie).
„Razu jednego znalazł — o dziwy!
„Wrosłe do dębu rogi jelenie.
„Rzecz taka rzadka i niewidoma,
„Więc gdy ją złożył królowi w darze,
„Król mu szlacheckie nadał dyploma
„I Dęborogiem nazwać się każe.
„I od téj pory chętką myśliwska
„Szła w naszym rodzie z ojca na dziecię;
„Każdy Dęboróg chlubny z nazwiska,
„Choć nie senator, *venator* przecię.
„Ja sam za młodu strzelałem dużo,
„Świadkiem nieboszczyk trocki wojwoda.
„Dzisiaj mospanie oczy nie służą,
„A jednak pola zależeć szkoda;
„Więc się chowają, proszę aspana,
„Strzelby i pieski dobre do pola,
„Stara myśliwska szkapa bułana,
„Wojewodzińska trąbka bawola
„I zasłużona torba borsucza.
„Otoż ta cała strzelcza spuścizna
„Dziś się waściny ręką porucza:
„Żeś ty Dęboróg, świat niechaj przyzna.
„Mamyć tu przecię las siaki taki,
„W zatoce kaczek bywają stada,
„W naszych zaroślach skaczą szaraki,
„Czasem z pod żyta wilk się wykrada.

„Będiesz polował, — wy młodzieniaszki
„Winniście wprawiać oko do strzału;
„Proszę aspana — tylko po mału,
„Strzeż się jak ognia dziewcząt i flaszki.
„Za naszych czasów, za Jezuita,
„I kiedy pańskie świetniały dwory,
„Proszę aspana, tego nas bito
„Za gorzalinę i za amory.
„Kiedy to trocki żył wojewoda,
„Ja sam, pamiętam, cięgę dostałem;
„Proszę aspana... krew była młoda,
„A jam okropnym był sowizrzalem.
„Otoż...” Lecz dalszą powieść jak z karty
Ojciec już gadał do głuchój ściany:
Bom z podarunku uradowany
Żwawo poleciał oglądać charty,
Tropić w zaroślach prześląd zajęczy,
Konno to pieszo zwijam się szlakiem,
Bułany tętni, a trąba brzęczy,
I strzał po strzale wstrząsa chróśniakiem.

XVI.

Moja rusznica pali donośnie,
Bije zające, kaczki, cietrzewie;
Ojcu z radości aż dusza rośnie,
Jak mię uściskać sam stary nie wie.
— „Proszę aspana, ej szkoda, szkoda!
„Gdyby to trocki żył wojewoda,
„Ty byłbyś w łaskach: bo jako żywo
„On szczerze kochał młodzież myśliwą,
„A nawet z każdym, co pewien w strzale
„Lubił mospanie żyć poufale.

„Proszę aspana, na jego dworze
„Raz pan Belina w dobrym humorze
„Prawił, jak skakał do głuszca w toku,
„A wojewoda słuchał go z boku.
„Ten pan Belina, człowiek ruchawy,
„Gdy o myśliwstwie rozprawiać pocznie,
„To choćbyś głuchy, poznasz widocznie
„Z jego podskoków, ruchów, postawy.
„To w dłoń zatrąbi — psy nawoływa,
„To się jak zając czai do ziela,
„To niby tropi, prześlad odkrywa,
„Nabija, pełźnie, mierzy się, strzela.
„Otoż z tym głuszcem kiedy się chwali,
„Czasem tokuje, podskoczy czasem,
„Tak się uwiął, że w pańskiej sali
„Wielkie zwierciadło strzaskał obcasem.
„Pan się nasrożył, uczuł nad szkoda,
„Lecz pan Belina, jakby w igrzysku,
„Z cicha mu szepnął: „Cyt wojewodo!
„Bo spłoszysz głuszca na tokowisku.”
„My w śmiech — pan także, nawet mu za to
„Darował pyszną strzelbę turecką,
„Puścił w niepamięć szkodę bogatą,
„I długo, długo śmiał się jak dziecko.
„Czasyż to były!!

„Otoż mospanie,
„Gdybyś za czasów żył wojewody...
„Lecz może jeszcze — wszak jesteś młody...
„Ruszajże sobie na polowanie.”

XVII.

Hejże znowu ja do kniei!
Jesień — zima — wciąż na łowy.
Raz zabiegłem po kolei
Aż za wzgórek rotmistrzowy,
Aż za kopce cudzych granic.
Była wiosna — zachód słońca,
Lecz nie zwykłem zważać na nic,
Kiedy ruszą psy zająca.

Daléj, daléj! a tu ciemno,
Czas do domu, zmrok zapada;
Patrzę w koło — tuż przedemną
Dwór sąsiadki czy sąsiada.
Tu Brochwiczów gniazdo rodu,
Ród szlachecki choć ubogi.
Nasłuchałem się za młodu,
Żeśmy sobie wieczne wrogi,
Że Dęboróg — póki świata,
Z Brochwiczami się nie zbrata.
Grób rotmistrzów, jakieś pole
Były źródłem wiecznej waśni;
Lecz o całym tym warchole
Kiedyż ojciec mię objaśni?
Dziś nieprzyjaźń nie jest jawną,
Tylko zawsze siebie stronim —
Stary Brochwicz umarł dawno,
A tu mieszka wdowa po nim.
Ojciec mówi, że Brochwicze
To wrogowie nam wieczyści;
Coś im jednak źle nie życzę,
Żadnej nie mam nienawiści;

Coś mi szeptce: — pomóż Boże,
A ja rankor ten umorzę.
Dworzec mały — a tak schludno,
Tak coś miło w każdej stronie,
Że źle trzymać o nich trudno,
Pocziwością zewsząd wionie.
Stary domek, stara strzecha,
Kędy mieszka stara wdowa,
A do okna się uśmiecha
Stara gałąź topolowa.
Lecz w ogrodzie — ach, mój Boże!
Same kwiaty, same róże!
Pięknie w okół — przez częstokół
Patrzę, aż tu hoża dziewa
Sadzi kwiaty i polewa,
I piosenkę jakąś śpiewa.
Słucham... słucham, serce gubię;
Za jój głosem myślą idę;
Ona śpiewa jak na biędzie
Tę piosenkę, co ja lubię.
Długom patrzył między liście,
Coraz baczniej, coraz miliej...
Krótco mówiąc — od téj chwili
Zakochałem się ogniście...
Gdym odchodził pokryjomu,
Aby znak zostawić jaki,
Na topoli koło domu
Zawiesilem dwa szaraki.

XVIII.

Codzień w pole, — ej! nie w pole,
Lecz do dworku pod topole.

Już znajomość — cóż za dziwy?
Blizki sąsiad i myśliwy
Że zajedzie niedaleko
Na poziomki i na mleko?
Że zwierzyne mamie nosi
I zagląda w oczka Zosi?
Ej poziomki! ej to mleko!
Ej ten dworek niedaleko!
Ej te oczka! — mówiąc krótko
Poglądały tak słodziutko,
Tak miluchno! — Z wolna... z wolna...
Już w nas chętka zobopólna
Spojrzyć razem, westchnąć razem,
Poszczebiotać półwyrazem,
Przyjacielsko ścisnąć dłonie,
Razem wybiedz na ustronie,
Pisać kartki potajemnie
I o sobie śnić wzajemnie.
Cicho, z wolna, niewidomie
Gore dusza gdy spodoba,
Z małej iskry bucha płomień
I zażęga serca oba.
Mgnienie oka, śmiech, swawole,
Zadumanie, gniew i zgoda,
Zda się fraszki — daj im wolę,
A zgubiona dusza młoda!
Taka biedna, tak szczęśliwa,
Gdy w tych fraszkach się rozplywa!
Już dla świata żyć nie może,
Jedną myślą się otoczy,
By wciąż patrzeć w lube oczy,
By żyć w lubym rozhowerze

Wieki wieków. Czas przeleci
Stokroć chyczj od motyla:
Bo szczęśliwi to jak dzieci,
Dni ich lecaj jako chwila.
Precz godziny! gdy słodyczą
Młoda dusza się rozmarzy;
Jedna bieda — że ci starzy
Na zegarach czas swój liczą.
Ani śni się ojcu, matce,
Co ci miło? co cię bodzie?
Dusza rwie się jak ptak w klatce,
A tu gadaj o pogodzie.
Dobra matka karty kładnie
Na los dziecka — lecz nie zgadnie,
Co tam dziecka myśl kołycha?
Czego dziewczę ciągle wzdycha?
Czego młodzian smutny bladnie?
Na niepokój snu twojego
Dają leki, warzą ziele,
A broń Boże gdy postrzegą
Gdzie najczęściej oko strzela!
Wnet witają chmurną twarzą,
Dają rady i przestrogi,
I zachmurzą dzień twój błogi,
I uczuciom zmilknąć każą.
Zimném okiem wrzące łono
Chcą przemierzyć aż do głębi;
Przyzwoitym chłodem wioną,
Aż ci serce się wyziębi.

Matka Zosi — święta dusza!
Polubiła mię jak syna,
Jednak czasem głową rusza:

Częsta moja tam gościna
Snadź się matce nie podoba.
Gdzie tam częsta? — trudno w drogę!
Czasem przejdzie cała doba,
A ja wymknąć się nie mogę.
Ho, ho! gdyby ojciec wiedział,
Gdzie mnie codzień kroki wiodą,
Wnetby z trockim wojewodą
Dał mi uczuć cały przedział,
Co rozróżnia nasze domy
Z wieków wiecznych, od pradziada;
Koniec rzeczy już wiadomy:
Bo przysłowie zapowiada,
Że Dęboróg póki świata
Z Brochwiczami się nie zbrata.
At zwyczajnie ludzie starzy!
Ale miłość pełna szalu
Nie zagląda do herbarzy,
Ni w dekreta trybunału.
Po swojemu łączy pary,
Innym taktem pieśń zaczyna;
Stary proces lub herb stary
Fraszka w oczach Kupidyna.
Dzisiaj szczęsno!

Lecz niestety!

Jaka przyszłość? serce boli:
Upór starca lub kobiety
Na nasz związek nie pozwoli!..
Bo mój ojciec nigdy zgoła
O Brochwiczach ani gada;
Matka Zosi niewesoła,
Bo żal czuje do sąsiada.

Jakieś klótnie tajemnicze
Dzierżą starych pod swą władzą.
Dęborogi i Brochwicze
Ręki sobie nie podadzą.
A cóż dla mnie? — śmierć z rozpaczy!
Precz te mary zapaleńcze!
Choć przycierpię, choć się zdreczę,
Lecz zapomnę... nie inaczej.

 Ot na sercu rękę kładę
I tamuję jego bicie:
Nigdy... nigdy... póki życie
Już na łowy nie pojedę,
Ani spojrzę k'tamtéj stronie,
Ani myślą nie pogonię.
Co jest w sercu, to się zatrze,
I zapomnieć jestem gotów;
W jasne oczy nie popatrzę,
Nie usłyszę jój szczebiotów,
Co to płyną dźwięcznie, z cicha,
Aż się serce rozkołysa...

 Takem roił zamysłony,
Ciagle patrząc w lube strony;
Potém kojąc serca bole,
Marsz do dworku pod topole!
A przed bramą wiem, że spotka
Niespodzianka jaka słodka,
Albo wianek na brzezynie,
Albo kartka na tyczynie,
Albo czasem gdy podchodzę,
Zosia spotka mię na drodze.
Wtedy smutek się rozproszy,
Wstrząśnie duszą miłość święta,

Serce pijane od rozkoszy,
Rannych zakłęć nie pamięta.

XIX.

Raz jak dziś pomnę — wieczór był świeży,
Szedłem dumając pod lube siolo,
Zosia jak zwykle spotkać mnie bieży,
Ale w jój oczach coś niewesoło.

— „Czy wiesz? — mówiła ze łzami dziewa —
„Niedobre wieści: mama się gniewa.
„Ja wczora licząc na dobroć mamy,
„A chcąc ją zdziwić niespodziewanie,
„Szczерze wyznałam, że się kochamy,
„Jak tylko serce pokochać w stanie.
„Mama mi rzekła, że się nie dziwi,
„Lecz pragnie płochość wstrzymać w zapędzie,
„Bo cóż że młodzi dzisiaj szczęśliwi?
„Rozdrażnią serce i gorzko będzie.
„Trzeba się rozstać, choć serce pęka:
„Bo ty mię kochasz bez ojca wiedzy,
„A moje serce... i moja ręka
„Nie dla sąsiadów z za waszój miedzy.
„Tak mówi matka (przebacz mój drogi!),
„Że my odwieczne dla siebie wrogi,
„Że lat ze trzysta od owój chwili,
„Jak z Brochwiczami Dęborogowie
„O jakieś grunta się pokłócili,
„I proces spadał po mężkiej głowie
„Z ojca na syna, jak powieść niesie.
„Ach cóż te grunta? nie dopuść Boże!
„Ot tylko śmiać się i płakać chce się;
„Miłość grunt rzeczy — nie prawda może?



— Czy wiesz? — mówiła ze łzami dziewczyna —
Niedobre wieści: mama się gniewa...

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

„Wielkie mi święto, że spór się toczy,
„Śmieszne te sądy i trybunały!...”
I z głośnym śmiechem zakryła oczy,
Bo z modrych oczu łzy się polały.
Jam drżącą ręką schwycił jój dłonie,
Gorąca głowa zwisała mi z szyje;
Czuje — w jój rękach twarz moja płonie,
A serce w piersiach z łoskotem bije.
— „O Zosiu moja! — rzekłem w rozpaczy —
„Przed tobą młodość, życia rozkosze,
„Ty mię zapomnisz... Bóg mi przebaczy,
„Ja żyć nie mogę...”

— „O! bardzo proszę,
„To coś jak w książce — my chrześciance,
„Ufać nam, ufać w Pańską opiekę!
„Jest Bóg, jest przyszłość — ej panie Janie!
„Gdy będziesz płakał, to wnet uciekę.
„Śpieszę do matki, matka się gniewa,
„A my tu marnie kwilim jak dzieci —
„Kto na kominek przyniesie drzewa?
„Kto jój tak jasno ogień nanieci?
„Kto ją bezemnie do snu ugada?
„Ja kocham mamę jak własną duszę;
„Dziś mi na wieki pana sąsiada
„Każe pożegnać — i spełnić muszę.
„Bo tam źli ludzie jeszcze powiedzą,
„Żeśmy znęciły młodego ptaszka,
„By wam wyludzić pole za miedzą,
„Że nasza miłość — at sobie... fraszka.
„Piękna to fraszka... serce tak boli,
„Matce się zdaje, że to daremno!...”

„Czyż nigdy ojciec twój nie dozwoli,
„Aby Dęboróg łączył się ze mną,
„Z córką Brochwicza?... Ej te przestrogi!
„Niby twój ojciec taki już srogi —
„Niby ja nie wiem, że ciebie pieści,
„Chociaż się zdaje trzymać na wodzy?
„Ej ci rodzice! niby to srodzy,
„A znieść nie mogą naszych boleści.
„Ot jestem pewna — o rękę Zosi
„Ojciec przyjedzie i sam poprosi.
„Wtedy się chyba... wtedy obaczym!...
„Bądź zdrow — nie traćmy dobrej nadziei...

I tak szczebiocąc z śmiechem i płaczem,
Znikła w zaroślach ciemnej alei;
Tylko jój piosnkę słyszeć z daleka —
Czy chce łzy pokryć? — czy marzy świetnie?
Może odemnie rada ucieka —
O serce! serce szesnastoletnie!
Jak bezprzytomny padłem na ziemię
I bolejące szarpałem łono.
Księżyc, co dotąd za lasem drzemie,
Wychylił na świat głowę czerwoną;
I drzącem światłem trysnąwszy w oczy,
Trochę mi ulżył cierpień ogromu.
Choć w piersiach ciężar, głowa się mroczy,
Niepewnym krokiem szedłem do domu.

XX.

Księżyc z za chmury przyświeca mgławo,
Gdzieś tam ogniska błyszczą za milę,
A tutaj sterczą w lewo i w prawo
Drzew i chat wiejskich czarne profile.

Droga znajoma, ach! i jak jeszcze...
Znam każdą trawkę w nocnej pomroce,
Wiem jak tutejsza olcha szeleszcze,
Jak tu pod olchą strumień pluchoce.
Tu każda trawka, fala i listek
Zda się żegnają, coś do mnie kwilą.
Tyle wspomnienia! tu świat mój wszystek,
Tu moje niebo było przed chwilą!
A teraz, teraz... piekielne bole
Nad memi pierśmi pastwią się srodze.
Idę jak martwy — wbiegam na pole,
Pod rotmistrzowy kurhan przychodzę.
Wśród czarnej nocy brnę nieprzytomnie, —
Wtém coś jęknęło — dreszcz przebiegł po mnie:
Spojrzę... dziad jakiś... biały, wysoki,
Stoi odemnie tuż o dwa kroki.
— „Kto tu? i po co?” krzyknę na dziada,
A w trwożnych piersiach zamiera słowo.
Starzec jak martwy nie odpowiada,
A tylko głośniej jęknął grobowo.
Wzrostem jak olbrzym — jak lesna jodła,
Ubrany w białej, grubiej opończy,
Snadź że mu czoło kula przebodła,
Po białych włosach krew mu się sący,
Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
Szeroką ręką po wąsach muska;
A taki straszny wyraz oblicza,
Że gdy go przyśnię i dziś mi trwożno. —
Wskazał prawicą na dwór Brochwicza,
Potém na naszą miedzę przydrożną,
Otworzył usta, wlepił wzrok we mnie,
I trzy wyrazy jęknął podziemnie:

— „*Redde quod debes!!*”

— „Kto tu?!” krzyknąłem,
Choć pierś zamarła ledwie kołata,
Czuję pot zimny leje się czołem —
Wtém zniknął upiór z innego świata.
Lecz wyobraźnia strachem nabita
Jeszcze go widzi na ciemnej błoni!
Uciekam polem, ot zda się goni
I trupią ręką za szyję chwyta.
Wbiegłem do domu — wszyscy już spali,
Więc bez pamięci na łożę padłem,
Chłód mię przejmuje, gorączka pali —
To zda się walczę z jakimś widziadłem,
To widzę matkę Zosi surową,
To mię mój ojciec przeklina marnie,
To zważam każde kochanki słowo,
A w każdym słowie nowe męczarnie.
W takich torturach duszy i ciała
Chciałem gdzieś uciec, lecz się nie dźwignę, —
Nakoniec jutrznia gdy zaświtała,
Sen ukołysał ciężką malignę.

XXI.

Przespałem tydzień — strach co mi się marzy!
Ciało jak kamień, a dusza — jak w piekle.
Modłę się we śnie, to przeklinam wściekle,
I widzę ojca, domowych, lekarzy,
A choć się ocknę, to w nysłach nie sprawię
Co było we śnie, co było na jawie...

Gdym wreszcie oczy otworzył przytomnie,
 Dwóch dobrych starców przy mém łożu baczę:
 Ksiądz defnitor modli się koło mnie,
 A ojciec ręce załamał i płacze.
 Gdym przemknął oczy i pot otarł z czoła,
 Ojciec wznosił ręce i głośno zawoła:
 — „Witaj nam z grobu, młody Dęborogu!
 „Proszę aspana — siedem dni jak chwila
 „Byłeś w gorączce, — ale dzięki Bogu,
 „Dziś się choroba stanowczo przesila.
 „Boże mych przodków, o wielki Jehowo!
 „Puść mię w pokoju! niech starzec już skona,
 „Kiedy żyć będzie na świetność herbową
 „Mojego domu latorośl zielona.
 „A ja o mojem rozpaczalem dziecku,
 „Że w tych męczarniach rozstanie się z duszą,
 „Ja umrę z żalu — i po staroświecku
 „Herb mego rodu przy trumnie pokruszą...
 „Dziś jest nadzieja, że mię syn pochowa
 „I weźmie po mnie zaszczyty ojczyste.
 „Dzięki Ci, Matko Święta z Począjowa!
 „Dzięki'ć cudowny boromelski Chryste...
 „Lecz dosyć stękać nad twoją mogiłą;
 „Wyszedłeś we dnie, powróciłeś w nocy,
 „Proszę aspana, powiedz jak to było?
 „Kto cię napędził tak ciężkiej niemocy?”
 — „A dajcież pokój! a bądźcież uważni! —
 Rzekł defnitor ocierając oczy: —
 „Jeszcze go powieść na nowo rozdrażni,
 „I znów gorączka głowę mu zamroczy.”
 — „Nie, ojcie — rzekłem — pozwala mi zdrowie,
 „Mogę przypomnieć minione obrazy,

„A gdy przed wami wszystko się rozpowie,
„To lżej mi będzie, lżej będzie sto razy.
„Ot kiedyś z łowów powracał w noc ciemną,
„Z grobu rotmistrza opadły mię strachy, —
„Straszny dziad jakiś stanął tuż przedemną,
„Wielkiego wzrostu i w odzieniu z blachy;
„A krew mu ciekła po twarzy i brodzie,
„A kiedy jęknie, to aż w serce bodzie.
„Tchnie groźbą cała postać tajemnicza;
„I skinął ręką przed oczami memi
„Na nasze grunta i na dwór Brochwicza:
„*Redde quod debes!* — wyjąknął z pod ziemi.
„A jam bez ducha uciekał po błoni,
„A tutaj zda się, że dziad za mną goni.
„Wbiegłem do domu o samą północy,
„Krew lodem krzepnie, to zarem się pali,
„Padłem jak martwy na łożo niemocy,
„I nie pamiętam co już było dalej;
„Tylko w gorączce ani chwili niema,
„Aby mi starzec nie stał przed oczyma.”
— „No, dosyć tego — rzekł mi ojciec smutno, —
„Zapomnij widma, bo ci to niezdrowo.”
Ale widziałem, że zbledniał jak płótno,
Wzniósł w górę oczy, a kiwając głową
Szepnął z westchnieniem: — „Miłosierny Panie!
„Kiedyż to widmo dręczyć nas przestanie?”

XXII.

Coś moje ozdrowienie szło krokiem niesporym.
Ojciec i definitór troszczą się nad chorym,
Ów przez czułość rodzica i względy herbowe,
Drugi pełniąc po prostu prawo Chrystusowe.



Gdym wreszcie oczy otworzył przytomnie,
Dwóch dobrych starców przy mém łóży baczę...

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Czy mi gorzej, czy lepiej, czy usnę, czy wstanę,
Przy mnie dobrzy starcowie byli na przemianę,
A straszne moje dumki chcąc rozpędzić szczerze,
Grali zemną w arcaby, mówili pacierze.
Lecz ojciec coś mi niezdrów, coś twarz jego blada,
O trockim wojewodzie nic nie opowiada,
Gdy siądzie do marysza, choć to gra tak łatwa,
Zamiast bić ze czterdziestu, Bóg wie jak się gmatwa;
A pomnę jak to dawniej było z nim inaczej,
Okładał pacierzami najzawziętszych graczy.
Dzisiaj snadź jego duszę tłoczą jakieś bole.
Nawet puharek miodu, co pijał przy stole,
Stoi czasem nietknięty aż do jutra rana;
A miód stary od szwedzkich wojen Sudermana
Wiekował w naszym lochu.

Ach, co mu się stało!

W oczy definitora pogląda nieśmiało,
Zamyśla się, i znacznie po całej postaci,
Że chciałby o coś pytać — a odwagę traci.
— „Księżę definitorze! — wreszcie go zagadnie —
„Żyjesz, proszę aspana, święcie i przykładnie,
„Spieszysz z usługą bliźnim ilekroć się zdarza,
„Ot i tu od tygodnia pilnujesz Łazarza,
„Uciekasz od podzięków jakby od napaści,
„Ale stary Dęboróg modli się za waści.
„Chciałem mówić, żeś kapłan ze słowa i czynu,
„A teolog zawzięty jak Tomasz z Akwinu,
„A pomimo dawniejsze z waszmością zatargi,
„Wyznam, żeś taki święty, jak w Żywotach Skargi.
„Nie zzymaj się, nie bluźnię — niech mię Bóg zachowa!
„Bo to proszę aspana... lecz nie o tém mowa...

„A łacinnik mospanie, to jak Jezuita...
„Jednak... proszę nie śmieć się... gdy cię prostak spyta:
„Czy waszmość wierzysz w strachy i nocne upiory,
„O których Jaś mój gada... zwyczajnie jak chory?
„Wierzysz mu, czy nie wierzysz?”

Ksiądz na to odpowie:

— „Są cuda, panie Pawle, o których mędrcom
„Ani śnili na jawie — jest gra wyobraźni,
„Czasem szatan widmami do złego nas draźni,
„Tak piszą stare księgi — liczyć ich nie pora, —
„Ot prosto z duszy naszej wyrobi upiora
„I postawi przed oczy — nie dziw, że przestrasza!
„A są widma i święte: czytaj Tobiasza,
„Czytaj o Świętym Pawle, toć twój patron przecię...
„Są marne przywidzenia, są cuda na świecie;
„Poznacie je z owoców — Bóg jest miłosierny.”
— „A ja wierzę! — rzekł ojciec — że rotmistrz pancerny
„Wyszedł z grobu i stanął przed Jasia oczyma.
„Dziś, wyznam jegomości... wszak nikogo niema:
„Ot! jak chciałbym bez zmayı przejść niebieską bramą,
„Że ze trzy razy w życiu widmo takie samo
„Widziałem jak was widzę — krew mu płynie z czoła,
„Jęcząc: *Redde quod debes!* po łacinie woła,
„Wskazuje dwór Brochwicza i na nasze miedze.
„Mniemałem, że to figiel, że sprawcę dosłedzę,
„Ale nie było czasu — bo to owój daty
„Ciągnęła mię krew młoda iść z konfederaty.
„Myślę sobie: na wojnie nim kulą w łeb palną,
„Bezpieczniej będzie odbyć spowiedź generalną.
„Przed spowiedzią, wieczorem kiedy grzechy liczę,
„Mignęło się na polu widmo tajemnicze.

„Ułynęło lat kilka, przeszły wojen burze,
„Ja na dworze trockiego wojewody służyć,
„Parzę zęby, jak mówią, na dworackiej kaszy —
„Kiedy umarł mój ojciec, słonimski strukczaszy;
„Więc przyjechałem tutaj w wiosennej coś porze,
„By gniazdo Dęborogów, dworzec Dęboroże,
„Objąć w moje dziedzictwo *naturali jure*.
„Późnym jakoś wieczorem wyszedłem na górę,
„Patrzę na grób rotmistrza, — aż przy grobie stoi
„Widmo wzniosłej postaci i w żelaznej zbroi,
„Muska wąsy skrwawione i swą brodę białą,
„Znowu: *Reddē quod debes!* z jękiem zawołało.
„Zbladłem... serce zamarło... i trwożliwie puka,
„Lecz mówię sam do siebie: to znów czyjaś sztuka!
„A nawet się domyślam...

„Lat kilka omija,
„Zapomniałem o strachach — bo krasna Marya
„Herbu Łabędź, łowczanka zakroczymskiej ziemi,
„Snuła się jako widmo przed oczami memi.
„Począłem konkurować — zezwolili starzy —
„Szczęśliwym się sukcesem nasz związek kojarzy.
„Tu wesele, tu miłość, tam trud gospodarczy,
„Tylu różnym kłopotom ledwie człek wystarczy;
„Nie dziw, proszę aspana, że w tak ważnej dobie
„Wieczyscie zapomniałem o rotmistrza grobie.
„Lecz oto... w rok po ślubie, w dzień Jana Chrzciciela
„Pan Bóg nową radością mój dom uwesela:
„Bo nam się syn urodził zdrowo i pomyslnie.
„Do rozrzewnionej duszy modlitwa się ciśnie.
„Więc wyszedłem w noc letnią pomodlić się Panu,
„I znowu słyszę jęki od strony kurhanu,

„I znowu także widmo, z témże groźnym słowem:
„*Redde, redde quod debes!* — aż echem grobowém
„Zadrgał las wśród północnej uroczystej głuszy —
„Choćby kazano przysiądz na zbawienie duszy,
„To przysięgnę, że głos ten nie z naszego świata, —
„Struchlały padłem na twarz.

XXIII.

„Przyszły starsze lata.
„Z razu dobrze się wiodło — potem źle najczęściej.
„Człowiek jak wół pracuje, a Pan Bóg nie szczęści;
„To mi żona umarła, to grad wybił zboże,
„Straszna nędza poczęła ścisnąć Dęboroże.
„Dawniej, proszę aspana, człek uczyty wydawał,
„Dziś na kufel podpiwka i na chleba kawał
„Ledwie starczy staremu — dajże radę biedzie!
„Ot nic, proszę aspana, ręką się nie wiedzie.
„Idzie od śmierci żony jesień siedemnasta,
„Ja stary bezsilnieję — a tu syn podrasta,
„On młodszy, mógłby kiedyś za pomocą Boga
„Okryć nową świetnością tarczę Dęboroga;
„Ale coś zły prognostyk od ojca na syna:
„Widmo się ukazywać młodemu poczyna,
„I grozi, że mu wszystkie zamiary rozprzeże...
„Czy wasze wierzysz w strachy, miłościwy księżu?”
— „Wierzę — rzekł definitór — wierzę całą duszą!
„W waszmościńej fortunie ludzkie lży być muszą.
„Gospodarstwo nie idzie, giną urodzaje,
„Widmo jakies czyscowe zasnąć wam nie daje;
„Może to grzechy przodków — wiadomo waszeci,
„Za nieprawości ojców pokutują dzieci, —

„Może herb Dęborogów w czasie niepamiętnym
„Nieszlachetnego czynu pokalany piętnem...”

— „Jak to, proszę aspana!!...”

— „Powoli! powoli!

„Ja jestem ksiądz i starzec, mój wiek nie pozwoli
„Grać ze szlachtą w szablice, — bić się rzecz człowiecza,
„A kto mieczem wojuje, ten zginie od miecza,
„Tak stoi w Piśmie Świętém; — nie rwiéj się z zapalem:
„Waszmościnego herbu obmawiać nie chciałem,
„Lecz memu posłannictwu i przyjaźni gwoli
„Pragnę położyć koniec dla waszój niedoli.
„Wielkie są skutki złego, choć początek marny.”
Tak mówił definitor — a uśmiech figlarny
Przebiegł po jego uściech. — „Nie gniewaj się wasze,
„Że ci sen mój rozpowiem i może nastraszę.
„Oto wczora wieczorem, zmówiwszy pacierze,
„Chciałem zasnąć, lecz starca zawsze sen nie bierze;
„Więc począłem rozmyślać... od nudów... tak sobie...
„O domu Dęborogów, o rotmistrza grobie,
„Począłem przypominać co doszło méj wiedzy,
„Za co on kazał siebie pochować na miedzy,
„Dla czego mara jego błąka się u drogi?
„Proces, co z Brochwiczami toczą Dęborogi—
„Wszystko, coś mi powiadał o staréj intrydze
„I co ze staroświeckich dokumentów widzę.
„Ot tak mi się te myśli po głowie dziwaczają,
„Że przyśniłem rotmistrza i wojnę kozaczą.
„Usnąłem... widzę zastęp na zastęp uderza,
„Dęboróg wiezie hufce Jana Kazimierza;
„Łamią tabór Dnieprowców pancernicy młodzi,
„Których dziad siwobrody chorągwią dowodzi.

„Wtém k'niemu Zaporozec mierzy z samopału,
„Wystrzelił — siwy rotmistrz zachwiał się pomału,
„Podjął kratę od helmu z wejrzeniem ponurém,
„Z czoła jego krew czarna wytrysnęła sznurem,
„Upadł, ale nie jęknął, jak gdyby był z głazu...
„Lecz walka się usuwa niby w głąb obrazu,
„Błyska ogień wystrzałów, migają pałasze,
„I widziałem zgon starca — posłuchaj mię wasze.

XXIV.

SEN DEFINITORA.

„Ze wzgórza widać, jak dym się czerni,
„Słysząc z daleka strzelbę armatnią,
„A na pagórku bracia pancerni
„Oddają komuś posługę bratnią;
„Kształtem namiotu rozpięli płótno,
„Stanąli kołem i gwarzą smutno.
„A pod namiotem, z głową u siodła
„Leży dziad siwy w grubój opończy;
„Kula mu stare czoło przebodła,
„Po białych włosach krew mu się sączy;
„Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
„A starzec z dumą po wąsach muska.
„A wkoło starca cisz uroczysta,
„Trzech zbrojnej szlachty otacza łoże:
„Jeden coś pisze — pewno jurysta,
„Drugi puls maca — to lekarz może,



A w koło starca cisz uroczysta,
Trzech zbrojnej szlachty otacza łoże...

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

„A trzeci skłonił głowę do łona,
„To syn żaloszny tego, co kona.
„ — „Cóż? — jęknął chory — mijają chwile,
„A księdza nie ma, ach! ani blisko:
„Jeden Bernardyn, a rannych tyle,
„Pewno obchodzi pobojowisko...
„O duszo moja, o duszo biedna!
„Któż cię rozgrzeszy, z Bogiem pojedna?” —
„ — „Bredzisz rotmistrzu! ot, byle skrucha,
„Bylebyś w sercu nie miał rozpaczy,
„Sam Bóg spowiedzi twojej wysłucha,
„Sam Bóg i grzechy twoje przebaczy;
„Odbyłeś spowiedź tuż przed *potrzebą*,
„Umierasz w boju — toć pewne niebo.” —
„Tak to jurysta cieszył chorego —
„Temu rumieńcem zaszła twarz blada,
„Po siwych rzesach łzy ze krwią biega,
„Oczy w niebiosach — snadź się spowiada.
„Nagle dostojne oblicze zmienia,
„Wyrazem bolu czy przypomnienia,
„I głucho jęknął: — „Grzeszyłem dosyć,
„Lecz żal otwiera niebieskie wrota,
„Umiałem ciernie życia przenosić
„Jako ofiarę grzechów żywota,
„Strzegłem jak mogłem grzesznego łona,
„Reszty niech Męka Pańska dokona.
„Jeden grzech tylko, grzech to nie świeży
„Moją śmiertelną godzinę plami,
„Ciężkim kamieniem na sercu leży
„I stawi piekło tuż przed oczami.
„Któż mię rozgrzeszy? kto mi przebaczy?
„Boże mój, Boże! chroń mię rozpaczy.

„Zbliżcie się tutaj dopóki pora,
„Głośno go wyznam, o bracia moi!
„Może skruszona moja pokora
„Gniewne oblicze Boga rozbroi.
„Zbliż się mój synu, zważ każde słowo:
„Bo waść nagrodzisz winę ojcową.

* * *

„Burzliwy byłem w młodości mojej —
„Jeno przy czarce, jeno we zbroi;
„Niekiedy tylko znużony szalem
„Litewski Statut w przemian czytałem:
„Obcą mi była wszelka zabawa,
„Okrom oreża, kufła i prawa.
„Z takich rozrywek — z naprawy czarta,
„Idzie nieprawość siłą poparta;
„Było to grzechem, lecz w owój chwili
„Temi grzechami wszyscy grzeszyli.
„Ksiądz na spowiedzi, a Pan Bóg w duszy
„Wciąż nam szeptali cośmy powinni;
„Lecz choć się człowiek spowiedzią skruszy,
„Z młodemu laty, z duchem Sarmaty
„Idzie tak samo jak inni.
„Mijały wiosny, mijały lata,
„Szumiał jak wicher wiek mój swawolny,
„Kiedy mój ojciec zeszedł ze świata,
„A ja zostałem ziemianin rolny.
„Tutaj zbyt kując huczno i gwarnie,
„Nabyłem sobie nielekkię sławy:

„Nie było psiarni nad moją psiarnię,
„Nie było konia jak mój cisawy;
„Nie było miodu jako mój lipiec;
„Nikt w koło nie miał takiego wasa,
„A przy odgłosie rześistych skrzypiec
„Nikt tak polotnie w tanku nie płasa.
„A biada temu, kto mi za wczasu
„Nie umknął z drogi, — młodzi czy starzy!
„A trzykroć biada, kto mi do lasu,
„Kto mi do pola wedrzeć się waży,
„Kto mi wśród tanka parę odbija,
„Albo mi mruknie słówko sromotne!
„Bo wnet jak zmówić Zdrowaś Marya,
„Wyzwę na rękę i uszy otnę.
„A jak na biedę miałem sąsiada:
„Pan Maciej Brochwicz o mnie nie stoi.
„On mi bywało do lasu wpada,
„On się przymila mojej dziewoi,
„A na pałasze bił się tak świetnie,
„Że mię i nieraz ciężko obetnie.
„Wtém weszli Szwedzi — w wojennój porze
„Któż o prywatnym myśli rankorze?
„I my z Brochwiczem, bracia koledzy,
„Złożyli z serca klótnię zawziętą:
„Nie pora myśleć o swojej miedzy,
„Kiedy z miedzami ojczyzny kręto.
„Rycerska szlachta na konia siada —
„Ja szedłem walczyć obok sąsiada.
„A wojna szwedzka waściom wiadoma,
„Lecz opowiadać nie pora wcale;
„Dość, że po wojnie zasiadłem doma,
„A sąsiad jeszcze bije Wandale.

„Poczekaj, myślę — póki przyjedzie,
„Figiel za figiel, panie sąsiedzie!
„Pod ciemną nockę zbieram gromadę,
„W kije i w rydle uzbrajam chłopcy,
„I w dziesięć koni na pole jadę,
„Tam gdzie graniczne stały okopy.
„Nuż burzyć kopce, przenosić wiechy
„Na grunt sąsiada z pracą, z mozołem.
„Boże mój, Boże! odpuść mi grzechy:
„Za morg zabrany — dziesięć odjąłem;
„I nowe kopce (piekielna rada!)
„Tuż się przymknęły pod dwór sąsiada.
„Nazajutrz tedy o rannym świetle
„W sto moich pługów ruszyłem żywo,
„Orze się skiba na cudzém życie,
„Krusząc z korzeńmi dojrzałe żniwo.
„Kopiec graniczny gdzieindziej stoi,
„Miedzę i zboże zorali chłopcy,
„Już ani znaku dawniejszej Troi,
„Starój granicy nikt nie wytropi.
„Lecz myślę sobie: zabrałem jawnie,
„Tylu jest świadków, wszystko widocznie:
„Jakże zabory moje uprawnię,
„Kiedy mnie sąsiad pozywać pocznie?
„Począłem dumać, sprawą szatana
„Znowu mi przyszła myśl niespodziana.
„Sąsiad miał lamus w środku zagrody,
„Co prapradziadów pamiętał jeszcze:
„Ściany ciosane z dębowej kłody,
„Drzwi kute blachą, zamki jak kleszcze,
„Miał postać baszty pięknego gmachu,
„Chorągiew z herbem skrzypki na dachu.

„W takich lamusach w wojennej chwili
„Przodkowie nasi skarby swe kryli.
„Sąsiad mój sobie szlachcie biedota,
„Perłę, brylantów nie miał i sztuki;
„Lecz miał papiery droższe od złota,
„Pamiętka dziadów, spadek na wnuki.
„A waszmość wiecie, — takiego plika
„Szlachcie pilnuje jak serca w łonie:
„Tu się szlachecka pewność zamyka,
„Że jesteś dziedzic na tym zagonie;
„Tu pergaminy odwiecznej daty,
„W nich bezpieczeństwo dla twojej głowy,
„Że były szlachtą twe antenaty,
„Że nosisz prawnie klejnot herbowy.
„Zniszczyć papiery — to znaczy może
„Zniszczyć na mieniu i na honorze.
„A ja w szaleństwie... i z jakim czołem
„Ja się na świętą własność targnąłem!
„Gdybyż to w zwadzie albo rozterce,
„I po rycersku, zbrojno, otwarcie...
„Ale to spodlić szlacheckie serce,
„Podłych włóczęgów użyć na wsparcie!
„Bo oto w nocy z mojej namowy
„Szedł tam z krzesiwem żebrak odarty,
„Podpalił głównią lamus dębowy,
„I poszły z ogniem odwieczne karty.
„Ja stałem w oknie — noc była czarna,
„I z niepokojem patrzę k'tej stronie, —
„Oto buchnęła luna pożarna,
„Pewno graniczny dokument spłonie,
„Uprawnię tedy mój zabór cały...
„Sumienie jękło... padłem omdlały.

„Powraca sąsiad — załamał ręce,
„I mnie obwinia sprawcą pożogi;
„Ale ja pewien, że się wykręcę,
„Hardo stawilem bezczelne rogi.
„Kopce zniesione, ślad jeszcze świeży,
„Lecz jakże dowieść nocnej kradzieży?
„Jednak zapozwał przed trybunałem,
„Żem sprawca gwałtu i konflagraty:
„Ale ja w sądzie sprawę wygrałem —
„On bez dowodów, a ja bogaty;
„Kopce granicą z obojój strony,
„Więc cały zabór mnie przysadzony.
„Czułem zgryzoty w sercu i w głowie,
„Alem sumienie skałą zawalił: —
„Powrócić krzywdę — toć każdy powie,
„Żem zabrał grunta i lamus spalił.
„A on bez chleba, z proga do proga
„Pełzał po sędziach dziesięć lat prawie;
„W końcu zdał pomstę na Pana Boga,
„I tak mi uszło moje bezprawie.” —

* * *

„Tak stary rotmistrz prawil swe dzieła —
„Głos jego słaby zamrze niedlugo;
„Krew mu obficij z czoła trysnęła,
„Płynie po zbroi czerwoną struga,
„Płynie po wąsach i usta klei, —
„Trup — tylko w oczach iskra nadziei.
„Tchnął — żyje jeszcze, natęża płuca,
„Chce jeszcze mówić co duszę boli,
„Ale już słabo, cicho, powoli,
„Słówko po słówku ledwie wyrzuca:

„— „Synu! to moja spowiedź — ty napraw me grzechy,
„A wy bracia nademną miłosierdzia proście.
„Umieram bez kapłańskiej kościelnej pociechy...
„Na święconych mogiłkach nie spoczną me koście...
„Synu, wież je do domu — chcesz ulżyć méj duszy?
„To je pogrzeb, pod lasem, na polu, przy gruszy.
„Tam były stare kopce granicy sąsiada;
„Dziesięć morgów na prawo — to grunt, co zabrałem.
„Oddaj je Brochwiczowi — i biada ci, biada,
„Jeśli nie tak postąpisz z rodzicielskiem ciałem!
„Zburzyłem stare kopce, niechże grób mój przecię
„Będzie kopcem granicznym zobopólnej miedzy...
„A gdy gruntów sąsiada nie odda me dziecię,
„Wnet wyrodka do sądu pozwićcie koledzy;
„Rozpowiedzcie rzecz całą ojcowskimi słowy,
„A ja go sam oskarżę przed sądem Jehowy...
„Synu, oddaj grunt cudzy, zaklinam na życie...
„Grób mój... kopiec graniczny... pod gruszką... słyszycie?” —
„Rzekł, uderzył się w piersi i opuścił szyję,
„Krew się się przestała sączyć... Rotmistrz już nie żyje.
„Poklękli nad umarłym uzbrojeni męże,
„A jam się modląc ocknął.”

XXV.

— „Bałamucisz, księżu!
„Ja poznałem od razu to nie było we śnie;
„Lecz śpiewasz nowym tonem staroświecką pieśnię:—
„Abym powrócił grunta Brochwiczowej wdowie,
„Choć je z kilku pokoleń dzierżę urzędowie,

„Chociaż — proszę aspana — rzecz jasna jak złoto...”
— „Nie sróż się, panie Pawle, tu nie idzie o to
„Czy to sen marny, albo rzeczywista jawa,
„Czy grunt dzierzysz bezprawnie, albo wedle prawa;
„Ale kapłan cię pyta o sumienne słowo:
„Jak kochasz twe zbawienie i tarczę herbowa,
„Jakeś ojciec, jak szlachcic, jak potomek wierny
„Walecznego rotmistrza chorągwi pancernej, —
„Powiedz mi — boś się nigdy kłamstwami nie zmazał —
„Czy ów syn zwrócił grunta, jak mu ojciec kazał?
„I czy tam, gdzie kazano, pogrzebł ojca kości?”
— „Jużci... proszę aspana, w tém nie masz pewności...
„Ów syn... pan Piotr Dęboróg... a mój pradziad prosto,
„Był za Jana Trzeciego rzeczyckim starostą
„I człkiem wielce skąpym — pokój jego duszy:
„Więc może zamiast ojca pochować przy gruszy,
„Pochował go za rzeczką dziesięć morgów dalej,
„Tam, kędy *violenter* kopce usypali —
„A tak uprawnił zabór. Trudno dociec z dzieła,
„Gdzie wtedy gruszka rosła, jak rzeczka płynęła.
„Kto to wie? w ciągu wieków wszak przemiana bywa.
„Lecz tylko poświadczają domowe archiwa,
„Że syn Piotra, Mateusz, piwniczny nadworny,
„Miał proces z Brochwiczami o poletek sporny.”
— „I cóż? wygrał, czy przegrał?” definitór spyta.
— „Ani wygrał ni przegrał — forsował i kwita.
„Bo to, proszę aspana, jest sztuka w palestrze,
„Że jak sprawę zahaczą w taktowym rejestrze,
„Można tworzyć przeszkody wciąż nowe i nowe,
„Komportacye papierów, badania miejscowe.
„Czas idzie jakoś prędko, a proces pomału
„Od sądów podkomorskich do spraw trybunału.

„Kiedy mądry obrońca umiejętnie zwleka,
„Nielacno się pan Brochwicz dekretu doczeka,
„Nielacno się w Temidy dokołatać wrota.
„Dęboróg miał pieniądze — a Brochwicz hołota: —
„Pan Mateusz wziął górę... Za pamięci naszej,
„Tymoteusz Dęboróg, słonimski strukczaszy
„Jego syn a mój ojciec — jako ślad znachodzę,
„Chciał załatwić rozterki w polubownej drodze;
„Lecz potem się rozmyślił — obliczył z chudobą:
„Nikt się nie dopomina, dawność miał za sobą,
„A grunta tak wybornie zarodziły latem,
„Że zostawił przy sobie ich *haereditatem*.
„A jam po ojcu objął całe Dęboroże.”
— „Wielkie — rzekł definitor — miłosierdzie boże!
„Pociesz się panie Pawle, twa dola szczęśliwa,
„Wielkich rzeczy dopełnić Bóg cię powoływa:
„Co ciężko praojcowie przed Panem zgrzeszyli,
„Zbrodnię czterech pokoleń zmazać w jednej chwili,
„Rozbroić chmurę gniewu Pańskiego nad domem,
„Co gotowa wybuchnąć piorunem i gromem,
„Ulżyć własnemu sercu, odrzuciwszy z dala
„Kamień grzechu i zgryzot, coć piersi przywała...
„Obaczysz... w twojej duszy jaka będzie zmiana,
„Gdy wrócisz cudze grunta!”

— „Ot, proszę aspana!
„Któż powiedział, że z taką wystąpię szczodrota?
„Wszak wdowa po Brochwiczu nie prosi mię o to,
„I co powie, mospanie, cnych przodków oblicze,
„Po których Dęboroże ojczyste dziedziczę,
„Żem uszczupił odwieczną praojców siedzibę
„Choćby o jeden zagon, choć o jedną skibę?...”

XXVI.

Tu defnitor powstał jak w stanowczój dobie,
I ojca po bratersku wziął za ręce obie,
W jego ustach był uśmiech błagalny i słodki:
— „Ej! wara, panie Pawle, wspominać tve przodki!
„Bo czy waszmość ma serce, czy masz wasze głowę
„Skazywać twoich przodków na męki czyscowe?
„Widziałeś cień rotmistrza, co cierpi tak srodze;
„Czy myślisz, że on dotąd na zbawiennój drodze?
„Nie pomogły mu cnoty, ni dzielna odwaga:
„Ot! błąka się po nocach i potomków błaga,
„Aby zwrócili własność sierocie i wdowie,
„Co niesłusznie przywłaszczył. — Czyż dalsi przodkowie
„I całe pokolenie parenteli waszój,
„Pan starosta rzeczycki, piwniczny, strukczaszy,
„Sprawę przed Panem Bogiem wygrali przemocą?
„Czy tam nie pokutują za krzywdę sierocą?
„Czy myślisz panie Pawle, że zbiór ich katuszy
„Nie spadnie na rachunek waszmościńej duszy?
„Syn, wnuk i chrześcianiń, szlachcic jak należy,
„Czyż tobie użytkować z owoców łupieży?
„Czy to po chrześcianańsku? pytam, czy to pięknie?”
— „Dosyc... proszę aspana... bo serce rozmięknie!” —
Rzekł ojciec, bo go mowa zwyciężyła taka,
I ocierał łzy bujne rękawem kubraka.
Zamyślił się i dodał: — „Prawda, prawda święta;
„Lecz są ważne przeszkody, są *impedimenta*.
„*Pro primo* trzeba wyznać i powrócić jawnie,
„Co ojciec, dziad i pradziad trzymali nieprawnie,
„I za grzechy pradziadów mnie świecić oczyma.
„*Secundo* starych kopców i śladu już niéma;

„Cudze mogę powrócić, ale swego szkoda:
„Oddaj kurowi grzędę, to zechce ogroda.
„Potrzecie... grób rotmistrza... święte przodków kości,
„Czyż zostawić na gruncie obcych posiadłości?
„Potém... proszę aspana... w szlacheckiej chudobie
„Dziesięć morgów nie żarty — pomyśl tylko sobie!
„Toż i tak Dęboroże już nas nie przeżywi.
„Na taką szczodrośliwość i mój syn się skrzywi:
„Bo on po mnie dziedziczy — a z czego żyć będzie?”
— „Gdzie rzecz o cudzą własność, nic nie masz na względzie!—

Zawołał defnitor ze świętą powagą:—

„Bóg dobry — i nikogo nie opuścił nago.
„A zresztą choćby zebrzeć przy kościelnej wieży,
„Jednak *redde quod debes*, oddaj co należy!
„Ale nie pójdziesz z torbą, już moja w tém rada.
„Jest sposób i powrócić grunta do sąsiada,
„I honor twoich przodków ocalić najściślej,
„Że grabieży i zwrotu nikt się nie domyśli,
„I syna zaspokoić z ręcznie a korzystnie,
„Że na oddanie gruntów i słówka nie piśnie.
„Słowem — przebłagasz Nieba, a dom twój widocznie
„Zubożon krzywdą ludzką, podnosić się pocznie;
„Otrzymasz przebaczenie za tve antenaty,
„Zysk w niebie, a na ziemi ani na grosz straty.”

XXVII.

— „Jakież to dziwny sposób — ot, proszę aspana?
„Oto ręka szlachecka niczém nieskalana,
„Oto *nobile verbum*, słowa nie zmitręzę,
„Daj tylko dobrą radę, miłościwy księże,
„A na wszystko przystanę! — Niech odetchnie stary.
„Te zgryzoty sumienia, te widma i mary,

„Co dawniej mię dręczyły, a dziś mego syna,
„Ta domu Dęborogów widzialna ruina --
„Och! to mi rani serce okropnie od noża.
„Poradź mi!!”

— „Niechaj przyszły dziedzic Dęboroża

„A godny syn waszmości za mnie już dogada,
„Czy chce wojny, czy zgody z rodziną sąsiada?
„Jeżeli jest za zgodą, to niechże obwieści
„Jak ją spełnić bez ujmy rodowitej cześci,
„Wedle Boga, sumienia i słuszności całej,
„Aby się dusze przodków w Panu radowały.”

— „Jak to zrobić — rzekł ojciec — nie widzę dokładnie,
„Gdy ja zgadnąć nie mogę, to jakże syn zgadnie?
„Wszak starość przed młodością rozumem się szczyci,
„Tak trzymali pobożni księża Jezuici.
„Przy trockim wojewodzie niech-no się odważy
„Młodzieniaszek mieć więcej rozumu niż starzy!...”

— O! — rzecze definitor — i ja przy tém stoję.
„Starość ma swoje prawa a młodość ma swoje.
„My starzy mamy rozum z doświadczeń i biedy,
„A oni sercem widzą — i jaśniej niekiedy;
„A więc gdy nasze mądre nie wiodą się plany,
„Posłuchajmy serc młodych — tam skarb nieprzebrany.
„No! śmiało, panie Janie, niepróżno cię dręczę,
„W rozterkach z Brochwiczami daj radę, młodzieńcze.
„Podśluchałem w gorączce twe marzenia chore,
„I dobrze jestem świadom, gdzie twe serce gore.
„Wszakże miłość cnotliwa żadnym nie jest grzechem.”

Tak mówił definitor z łagodnym uśmiechem,
Przywodząc mię za rękę do ojcowskiej ławy,
A jam blednął i kraśniał, i drżałem z obawy

Srożej niżli przed owém rotmistrza widziałem.

Wreszcie jak bezprzytomny na kolana padłem.

— „Ojczy! — rzekłem nieśmiało, jak młode pacholę —

„Przebacz, że bez twój wiedzy dałem sercu wolę;

„Kocham córkę Brochwicza — bo chodząc na łowy,

„Częstom odwiedzał dworek sieroty i wdowy.

„Zawsze mię przyjmowały z uprzejmą słodyczą;

„One ród nasz szanują i dobrze nam życzą,

„Nie pamiętają krzywdy, co nasi przodkowie...”

— „Ależ, proszę aspana — co aspanu w głowie? —

Przerwał mi ojciec mowę z uśmiechem, lecz srogo: —

„Zdaje się taki sensat... pokochał... i kogo?...

„Córkę tych, co od wieków... co może lat dwieście...

„Byli nieprzyjaciółmi... ej sidła niewieście!!

„Oplatać mi młodzieńca, w którym ród nasz tleje

„I herbu Dęboroga jedyne nadzieje...

„Bratać się z Brochwiczami... O! nie! żart na stronę:

„Musisz puścić *per non sunt* zapaly szalone.”

— „Nie, mój ojczy — odpowiem z błagalnym wyrazem: —

„Już nie wydrzeć ich z serca, chyba z sercem razem.

„Dałem słowo — i żadną nie zhańbię się zmianą.

„Ja pierwszy pokochałem... i... mnie pokochano.

„Święte uczucia serca — to nie mary senne,

„A miłość nasza czysta jak niebo wiosenne.”

— „No! zrzecznie-ć ulowiono! to zuch jakaś dziewa!

„Ależ, proszę aspana — przysłowie opiewa,

„Że dopóki dwóch rodów, póki starczy świata,

„Nigdy się z Brochwiczami Dęboróg nie zbrata; —

„Co tu począć z przysłowiem?”

— „Cóż to! czy my dzieci? —

Zawołał definitór. — „Ktoś dwa słowa skleci,

„To dla tego zapomnieć przykazania Boga!
 „Cóż to! związek z Brochwiczem skrzywdzi Dęboroga?
 „Oba rody szlacheckie przez pokoleń wiele,
 „(Tylko oni skrzywdzeni, a wy krzywdziciele),
 „W obu domach mieszkańcy poczciwi choć prości.
 „Nikt tam nie stawiał sidła na syna waszmości,
 „A wdowa po Brochwiczu, gdy się dowiedziała,
 „Że serce dwojga młodych wzajemnością pała,
 „Jak niewiasta szlachecka i wielce pobożna,
 „Dała uczuć swą córcę, że odtąd nie można
 „Ani widzieć kochanki, ni się pismem znosić,
 „Chyba przyjdzie Dęboróg sam o rękę prosić
 „Dla swego jedynaka — i cóż waszmość na to?
 „Grzechy kończą się karą, a cnota zapłata.
 „Pamiętaj panie Pawle, że kara łupieży,
 „Że grzech kilku pokoleń na twój głowie leży,
 „Że dom wasz podupada — i niech Bóg zachowa,
 „Ostatnia jego gałąź zawieść gotowa.
 „Młode serce, jak ogień, paląc się wyniszcza —
 „Miłyż ci będzie widok domowego zgliszcza?
 „Po niem błąka się widmo i przemawia do cie:
 „*Redde! redde quod debes!* — wróć krzywdę sierocie!”
 Ojciec zalał się łzami, — za rękę go chwytając:
 — „Błogosławionyś księżu, jakby Jezuita!
 „Nawet, proszę aspana, trocki wojewoda
 „Przyznałby, że masz słuszność... A zgoda już! zgoda!
 „Niech się młodzi kojarzą, ja sam tego życzę,
 „Niech się z Dęborogami zbratają Brochwicze.”
 Tomówiąc, ojciec powstał rzeźwy i ochoczy,
 Ucałował mię w czoło i w usta i w oczy,
 Modlił się, gdym uściskał rodzicielskie nogi:
 — „Boże! coś miał w opiece stare Dęborogi,



Ojciec pojechał do dworku Brochwicza:
Polubił Zosię i jej matkę starą;
Złożył mój affekt...

do str. 95.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

„Błogosław moje dziecię w jego losu zmianie,
„Niech szczęsnym i cnotliwym na zawsze zostanie,
„Niech będzie godzien swego herbu i nazwiska.”
Potém definitora serdecznie uściska.
Popłakali się rzewnie starcowie weseli
I miodem z czasów szwedzkich tę sprawę zaleli.

XXVIII.

Tak się skończyła sprawa tajemnicza:
Ojciec pojechał do dworku Brochwicza;
Polubił Zosię i jój matkę starą.
Złożył mój affekt — a serca ofiarą
Nie pogardzono — tak w jednym obchodzie,
I młodym sercom, i rodowej zgodzie,
I ceniom przodków spełniło się zadość.
Było wesele, miód. wino i radość, —
I sporne grunta, zarośla i pasze
Zlały się w jedno, jak dwa domy nasze.
Młodzi się sercem bez przeszkody dzielą,
A starzy szczęściem młodych się wesela,
Mówią pacierze, lub grają w družbarta;
A kiedy ojcu poszcęści się karta,
Popija miodek, i z ogniem nielada
O wojewodzie trockim rozpowiada.

A gdy już sporna zaorana miedza,
Ksiądz definitor rzadko nas odwiedza,
Choć go błagamy raz, drugi i trzeci,
Aby zamieszkał u nas jak u dzieci.
Ale ze starcem sprawa nie tak łatwa.
Mówi: że cała społeczność mu dziatwa,
W niejednej wiosce i w niejednym dworze
Są nieszczęśliwi — a któż im pomoże?

Tam sąsiad cierpi niechęć do sąsiada,
Tam ktoś w rozpacz na duchu upada,
Tam pełno starych i chorych Łazarzy,
Któż ich nawiedzi? kto ziólek nawarzy?
A tam już może puka kto we wrota
O pokarm ciała lub o Chleb Żywota.
Ksiądz wszędzie czuwa, zasila i strzeże,
Bronuje pole i mówi pacierze.

XXIX.

Żyjąc w miłości i bojaźni bożej,
Widmo rotmistrza nigdy nas nie trwoży.
Gdzie stała jego mogiła wśród pola,
Dzisiaj kaplica z modrzewiu i sosny;
Tam gdy domowa doła lub niedoła,
Idziem się modlić, — a Pan Bóg litosny,
Czy głód, czy wojna, czy grad, czy posucha,
Zawsze gorącej modlitwy wysłucha,
Albo odwróci, gdzie groziła szkoda,
Lub serce wzmocni i otuchy doda.

1846 — 1850 Załucze.

EPILOGOS

DO DRUGIEGO WYDANIA.

~~~~~

Kiedym przed dwoma laty (toć niedawne czasy)  
Oddawał Dęboroga pod drukarskie prassy,  
Nie tuszyłem, że pismu poszczęści się w świecie,  
Że je tak dobrém sercem łaskawie przyjmiecie.  
Dziś kiedy rozrzewniony jak na dłoni baczę,  
Że warto dla was śpiewać, litewscy słuchacze!  
Że można choć niekształtnie złożonemi rymy  
Zagrać na waszych sercach kreśląc kraj rodzimy, —  
Rumieniec zawstydzenia do twarzy mi bije,  
Żem tak mało ulepszył drugą edycję.  
Może przynajmniej z łaski posłuchać zechcecie,  
Co się z Dęborogami stało przez dwulecie.

Stary Dęboróg umarł ku powszechnej szkodzie,  
Gwarząc jakąś powiastkę o trockim wojwodzie;  
Ale, proszę aspana, jako człowiek święty,  
Oczyszczony pokutą, wzmocnion Sakramenty,

Gdzieś na łonie swych przodków, wśród herbownej rzeszy,  
Ze trockim wojewodą pospołu się cieszy.  
Bo tam już stary Brochwicz, niegdys wódz pancerny,  
Wymodlił mu w niebiesiech dekret miłosierny,  
I oba z wyżyn patrząc na litewską stronę,  
Błogosławią swych herbów tarcze skojarzone.  
Dąb, godło Dęborogów, jest ozdobą lasa,  
Jeleń w herbie Brochwicza posuwisto hasa,  
I trojga małych wnuków nowe pokolenie  
Rośnie krzepkie jak dęby, zwinne jak jelenie.

Lecz może pamiętacie, że Dęboróg stary  
Miał swoje uprzedzenia, miał dawne przywary;  
Naprzykład, wierzył mocno w katechizm jedyny:  
Że szlachcie stworzon z inszej, a chłop z inszej gliny.  
Przebaczmy starzej głowie — przebaczymy tém szczerzej,  
Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy.  
Szlachta na całej Litwie jest bracią swęj włości,  
Ochrania ją od głodu, od zimna srogości;  
W wioskach, slysze, dostatek, wyplenione chwasty,  
Zakwitnął bujnym kwieciem nasz wiek dziewiętnasty;  
Obruszać się na szlachtę nie miałby sposobu  
Nawet ksiądz definitor, gdyby powstał z grobu.

Och! bo już upłynęła druga wiosna pono,  
Jak grób jego porasta darniną zieloną.  
Młodzi Dęborogowie i naród z daleka  
Odwiedzają mogilę świętego człowieka.  
O nim serdeczna pamięć lży im sący z oka;  
A jego miłość bratnia i wiara głęboka,  
A przykład jego cnoty nie zaginął marnie,  
Bo długo jeszcze będzie umacniał owczarnię.  
Była to w swoje czasy postać nader rzadka;  
Lecz dzisiaj kościół święty, prawowiernych matka,

Liczy garstkę pasterzów sporą a przykładną,  
Co własne swoje dusze za owczarnię kładną,  
Co pracują na polu, znoją się w kościele,  
Dziela ze smutnym smutek, z wesołym wesele,  
Z ubogim chleb powszedni, a z każdym chleb ducha,  
A lud boży przykładnie ich nauki słucha,  
Z ich sercą jak ze źródła czerpiąc dobre wzory  
Dostojnego ubóstwa i świętej pokory.

Grób po grobie pochłania czyjeś stare kości.  
Zapadaj, dawny wieku, na łono przeszłości;  
Ty zasię strojną w barwę różową, tęczową,  
Młoda jutrznio postępu, świtaj nam nad głową!  
A gdy już twoje słońce u południa stanie  
I oświeci grobowej ciemności otchłanie,  
Gdy promienni twém światłem zajrzym do podziemi —  
Niechaj się nie zawstydzim przed ojcy naszymi.  
Bo biada naszej głowie i twym blaskom biada,  
Jeśli stanie przed nami postać prapradziada,  
I głosem uroczystym zagrobowej mary  
Rzecz: „*Redde quod debes*, płacicie dług wasz stary!...  
„Spuściliśmy prostacy naszą piękną stronę  
„Na wasze ręce silne, na głowy uczone, —  
„Od zgonu waszych przodków, do dzisiejszej chwili,  
„Obliczcie, coście wzięli, coście przymnożyli?  
„Musí być w wasze czasy, które postępowi budzi,  
„I więcej kwiatów w polu i cnot w sercach ludzi;  
„Lubiliśmy procesa i pieniacze matnie,  
„U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie;  
„Równych synów ludzkości odkupionych z krzyża  
„U was pycha herbowna pewno nie poniża;  
„Porzuciliście puhar, co ku złemu kusi,  
„Z trzeźwych piersi modlitwa gorętsza być musi;

„A jako Bóg nagradza cnotę zasłużoną,  
„Toć i wasze niebiosą błękitniejsze pono...”  
Och! bolesno posłyszeć taki głos z mogiły:  
Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,  
A choć zda się dokoła zielone przestworza,  
Po trawce nie rozeznac kąkolę od zboża.  
A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,  
Przebaczcie, że niepewnym tonem pobrząkiwa:  
Bo nie zgadnie do jakiej nastroić się nóty,  
Czy tworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty.

7 maja 1855. Borejkwoszczyzna.



## PRZYPISY.

### URODZONY JAN DEBORÓG.

P. Rodziewicz, towarzyszył pracy Kondratowicza w wielkim zarządzie dóbr Radziwiłłowskich w Nieświeżu w latach 1841—1844, otrzymał od poety w darze autograf *Jana Deboroga*, prawie jednym tchem napisany w r. 1851. Ztąd z opowiadania p. Rodziewicza urosło w *Przebiegu Europejskim* twierdzenie, jakoby poemat Kondratowicza urodził się w r. 1851 i był dziełem szczęśliwej improwizacji. Tymczasem ów autograf nie był bynajmniej pierwotworem, ale kopią spajającą w całość ustępy różnemi czasy pisane, z których sam początek sięgał roku 1846, a opis noclegowiska w inną nieco postacią był skreślony w r. 1846 lub 1847, jak to widać z ocalałych ułamków. Kondratowicz w późniejszych latach w Wilnie i Borejkowszczyźnie wierszował nadzwyczaj szybko; improwizować na zgromadzeniach nie umiał, lecz w ciszy nocnej rzucał od razu na papier po kilkaset wierszy poematu, i bez żadnych niemal poprawek oddawał do druku. Inaczej wszakże było z jego pracami pierwotnymi w Załuczu, z najpiękniejszymi drobnymi gawędami, z przekładami poetów polsko-lacińskich, a nade wszystko z *Deborogiem*. W tych trafiają się czasem stronnice, na których niemal każdy wiersz ulegał stylistycznym poprawkom, jak o tym czytelnik przekonać się może z opisu noclegu w *Deborogu* na str. 35—40 i z załączonego w tych przypisach wariantu, ogłoszonego z rękopismu już przygotowanego do druku, a więc z pewnością po poprzedniemu przeoraniu wiersza piórem. Tym to sposobem *Jan Deboróg* powstawał częściami przez lat sześć, choć plan jego niewątpliwie zrodzony był w jednej chwili szczęśliwego natchnienia, był dziecięciem pierwszych lat zawodu poetyckiego Kondratowicza. Na poparcie tego ostatniego domniemania przychodzi okoliczność, że w ustępach poematu odbiły się drobne wypadki życia poety, aż do *poziomek i mleka*, nie z lat późniejszych, ale z 1845 i 1846, w których dorywczo pisał swoje pamiętniki. Ułamki z tych pamiętników ogólniejszego znaczenia ogłosiliśmy 1870 r. w *Gazecie Warszawskiej*; tutaj w stosownych miejscach przytaczamy z owych pamiętników to i owo, jako objaśnienie związku między życiem poety a jego dziełem.

Autor poświęcił swe dzieło Wacławowi Przybylskiemu i tłumaczowi *Ekonomii Politycznej* Garnier'a Adamowi Starezewskiemu, podówczas nauczycielom w Wilnie.

#### STR. 9. Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci lub Szczary.

Po utonętym flisie towarzysze jego zwykli na brzegu rzeki stawiać krzyże. Takich krzyżów wiele spotykamy nad brzegami naszych rzek splawnych. (Przyp. Autora.)

STR. 11. Stary Poleś nasze gniazdo...

Szlachta drobna, lecz zasobna...

Jest to charakterystyka własnej rodziny poety, skreślona w urywku pamiętnika następującymi wyrazami: „Urodziłem się w Smolhowie, wsi powiatu *Bobrujskiego*, z ojca Aleksandra, matki Wiktorii ze Złotkowskich Kondratowiczów, dnia 17 września 1823. Pochodzę z *niemajętnej*, ale stariej i poczciwej szlachty polskiej. W liczbie moich przodków był Konstanty Kondratowicz, za Jana III *podwojewodzi* nowogródzki. Dalsze moje antenaty były sługami i przyjaciółmi domu Radziwiłłów nieświezkich, a jeden z nich, pono tenże Konstanty, należy do fundatorów kolegium nieświezkiego Jezuitów święto-michalskich. Ze strony babki mojej jestem krewnym zeszłego Aleksandra Turskiego (Pijara, chemika, którego żywot poeta napisał do *Athenaeum*), a ze strony dziada krewnym Tadeusza Matuszewicza, sławnego ministra skarbu, tłumacza Tomasza a Kempis i Delilla *O Imaginacyi*. Stryjem moim był Hilary Kondratowicz, professor matematyki w Wilnie, autor znanego w swoje czasy artykułu w *Wiadomościach Brukowych*, pod tytułem: „O Fanfaronetrze.” Otoż i wszystko, czém się mogę pochlubić z przodków. Zresztą (ta reszta najważniejsza) idę z rodziny nieposzlakowanej poczciwej, czém nie każdy z panów hrabiów i książąt może się pochlubić. Bódajby ta poczciwość przodków stale w moich piersiach osiadła i zlała się na moje potomstwo!”

Ojciec poety chodził dzierżawą. Po wspomnianém wyżej Smolhowie, trzymał folwark Jaśkowicze na *Polesiu*, potem Kudzinowicze pod Nieświeżem, zkąd poetę wysłano do szkoły, potem Marchaczewszczyznę w okolicach Świerżnia, gdzie po szkołach zamieniono go na ekonoma ojcowskiego, wreszcie Załucze i Tulonkę, gdzie dojrzał na pisarza. Z rodziny matczynej wspomina poeta dwóch wujów rodzonych niebardzo pochlebnie. O jednym z nich, Franciszku Złotkowskim, niejako przypomina z lat dzieciństwa: „Pamiętam, jak nam opowiadał o Wilnie, jak mi się chciało być tam i widzieć te cuda; mianowicie nie mogłem sobie pojąć, kiedy wujaszek, namiętny wielbiciel heców, opowiadał i na dowód pokazywał afisz, gdzie widziałem odrysowanego człowieka, stojącego prosto na koniu lecącym galopem.” Pod dniem zaś 7-m maja 1845 roku, podczas pobytu w Wilnie z ojcem, tajemniczo wspomina: „W poniedziałek rano dowiedzieliśmy się o śmierci wujaszka, i co siły do domu.” — Mama niezmierny musiała mieć kłopot, „może jeszcze jest co do załatwienia — mówiliśmy do siebie, — śpieszmy!” — I otośmy w domu. Śmierć wujaszka jakże jest przerażająca! Okropność! co za życie! co za śmierć!... W spadku zostały nam kłopoty. Wieczny mu pokój!” Te kłopoty pochodziły z dwóch stron jednocześnie: od włościan wsi dzierżawionej przez zmarłego, dopominających się wynagrodzenia za krzywdy, i od brata jego Jana, domagającego się spadku. W końcu czerwca 1845 r. poeta pisze: „W niedzielę byliśmy w Marchaczewszczyźnie, gdzie starałem się wszelkimi sposobami zbić pretensje włościańskie, które niestety! w małej tylko liczbie zbić udało się.” W grudniu zaś zaznacza: „Przyjechawszy do rodziców, zastałem dotkliwy list wuja do mamy, który szukając summ neapolitańskich sukcesyjnie nań spadłych, uprzykrza się podejrzeniami, żeśmy coś z funduszu zeszłego wuja Franciszka zataili. Ta jego bolesna niewdzięczność wszystkich nas dotkliwie zasmuciła. Wieczorem, w imieniu mamy, odpisałem mu, dając porządnego pieprzu, — co z tego wyniknie?” Nie wiadomo co wynikło; ale wiadomo, że wujaszek Jan Złotkowski chodził po sądach i przywoził do Tulonki „assessorów,” t. j. komissarzy policyi, których „kubanami” mitygować musiano.

Farb więc do malowania procesu między Dęborogami a Brochwiczami nie brakło pocie w domu.

STR. 11. Lasy pali, Boga chwali.

War.: Bije wroga, chwali Boga.

STR. 12. Helm lub czapeczka rogata.

War.: Konfederatka rogata.

STR. 17. O milę w wiosce był dom plebana.

Postać księdza definitora nie daje się odszukać w ułamkach pamiętników Kondratowicza. Stosunki jego z księżmi w okolicach Załucza były uprzejme, ale konwencyonalne, z wyjątkiem tylko proboszcza mirskiego ks. Łappy, z którym poeta żył w największej przyjaźni. Atoli najzaciejszy ten człowiek, niegdyś wojskowy, potem po owdowieniu kleryk w Mińsku i proboszcz w Mirze, potem rzucony w dalekie strony wschodu, nareszcie wikary w Wilnie, miał charakter zawsze zacinający z życia obozowego, i za wzór do definitora służyć nie mógł. Prędzej poszukać można tego wzoru w kierowniku szkoły dominikańskiej nieświeżkiej, ks. Hieronimie Bajkowskim, o którym powiada poeta w swoim wspomnieniu szkolnym poniżej przytoczonym: „Trudno wyrazić, ileśmy go kochali i szanowali.” Przypuszczenie to popierać mogą słowa poematu, że ks. definitor „przybył z klasztoru w wioskowe progi.” Zresztą kształcenie się pierwotne Kondratowicza szło w domu pod trzema kolejno zmieniającymi się guwernerami, ludźmi pospolitego rejestru; scena zaś opowiadana na str. 41 i następnej poematu, o księdzu „gawędzącym odwieczne powieści” chłopcom, jest przypomnieniem pogadanek jego własnego ojca. Pisze o nich w ułamkach wspomnień: „Nie pamiętam jak i kiedy nauczyłem się czytać; lecz pomnę, kiedy mię bywało ojciec brał do swego łóżka, i opowiadał mi główne wypadki *historji świętej, rzymskiej*, uczył pacierza, tłumacząc każdą rzecz, tak, że potem miałem o czem myśleć i zastanawiać się przez cały dzień. W roku szóstym mojego życia wyszedłem już na małego sensata. Oj! bodajbym był szalał i wybierał gniazda wróblom,—możeby mi teraz było lepiej w głowie, lżej na sercu...”

Ksiądz definitor jest oczywiście zbiorem przymiotów, jakie autor za najcenniejsze uważał w kapłanie i obywatelu, dla postawienia go w przeciwieństwie z przesadami starego Dęboroga i podniesienia obu postaci kontrastem artystycznym. Poglądy obywatelskie definitora na sprawę wyzwolenia włościan, ubocznie tylko poruszana niby z kazalnicy, bo otwarcie nie wolno było wtedy dotykać nie tylko wyzwolenia ludu, ale nawet nadużyć nad nim popełnianych, — były poglądami samego Kondratowicza. W poniedziałek wielkanocny 1845, poeta wróciwszy z pańskiego majątku w sąsiedztwie Tulonki, dzierżawionej przez jego rodziców na prawym brzegu Niemna, o milę od téj rzeki na drodze z Mira do Wilna, pisze w swym raptularzu: „Wracamy z Otmyta. Dziś tam stosownie do dawnego zwyczaju zebrana była cała włość, gdzie ją traktowano wódką i obiadem; skoki trwały do późna. Jest to tylko fanfarońskie zafarbowanie biednego stanu chłopów, chluba przed sąsiadami, lecz wcale nie oznaka dobrego bytu włościan.” Na Wielkanoc następnego roku 1846 powtórzyło się to samo w Otmycie, i Kondratowicz znowu pisze: „Zaproszono nas tego dnia do siebie, bo oni tam co rok fetują włościan — biednych włościan, — chcąc im wódką zalać samopoznanie ich nędzy... Wieczór tam upłynął dosyć

nudnie." Z drugiej zaś strony pod dniem 11 czerwca 1845 r. pisze: „Po obiedzie jeździliśmy do Żukowego Borku (wsi nadniemeńskiej należącej do Załucza dzierżawionego przez poetę), oglądać roboty około zatamowania wody z rzeki Jaczonki. Wracaliśmy przez wieś. Ile razy przez nią jadę, winszuję sobie, że mię Bóg przełożył nad ludem tak dobrym, tak pracowitym, tak przywiązanym do dworu, do swęj pracy i obowiązków. Objeżdżaliśmy potem wiele miejsc zasianych żytem: w ogólności wiejskie zasiewy *lepsze* są od dwornych; wszelako są i w Załuczu niezłe żyta, ale ich niewiele.“ Ten stosunek, który wycisnął się i na drukowanym późniejszym *Pogrzebie Młodego Rolnika* z Żukowego Borku, w wyrazach: „Wczoraj, młody Łazarzu, kłamałem twęj rodzinie, i tobie, i *sobie*, że jeszcze wrócisz do świata,“ — odbijał się i w innych postępkach dworu załuckiego. W Żukowym Borku mieszkał po Pietkiewiczach nadleśny Popławski, ksiądz grecki Dąbrowski i dzierżawczyni młyna starozakonna Jachna. Owoż Popławskiemu Kondratowicz pomagał w przepisywaniu raportów i rachunków; pani Kondratowiczowa zaś robiła dla księdzowej czepeczki i przerabiała suknie, a Jachnę odwiedzała w pologu. A kiedy Dąbrowska i Jachna przyszły tak samo w nawiedziny do choręj żony poety, Kondratowicz zapisuje to w pamiętniku i dodaje: „Wdzięczen im jestem za ten dowód współczucia.“

Zresztą sam definitor jest najlepszym dowodem „demokratycznego“ usposobienia pisarza, i nie ma żadnej potrzeby uciekać się po dowód tego aż do podsuwania wbrew oczywistości ironicznemu wierszykowi *Przeszłość* znaczenia, którego nie miał i mieć nie mógł. „Demokratyczne“ usposobienie Kondratowicza było polskie, nie zaś cudzoziemskie; nie wymagało po nim zupełnego rozbratu z przeszłością i kościołem, jak tego żąda od swych wyznawców demokracja zachodnia. Ludzie po cudzoziemsku liberalni zrozumieć tego nie umieją, i dla tego mylą się w sądach o kierunku społecznym poety.

STR. 20. A ksiądz czeczotką kroki podpiera.

Kij z młodęj brzozy karłowatęj, osypanęj na powierzchni guzami i drobnemi wklęsłościami. Robią się też czeczotki sztuczne przez gęste nacinanie kory rosnącego drzewka wiśni, śliwki, czeremchy, lub t. p.

STR. 25. Święte w tych rękach boćkowskie narzędzie.

Miasteczko Boćki w Grodzieńskim nad Nurem, słyęło z wyrobu dyscyplin, batów i tym podobnych wyrobów rymarskich. Dyscyplina zwana „monitorem boćkowskim“ szeroko była znana po szkołach.

STR. 26. Ot powiem jegomości—z trockim wojewodą  
Raz taki był przypadek.

Do odmalowania krajobrazu tęj przygody dostarczyły poecie kolorów własne wspomnienia dziecięce, o których wzmiankuje w pamiętniku: „Pierwszém miejscu, które pamiętam, są Jaśkowicze, folwark na Polesiu, który ojciec mój wtedy trzymał. Trudno było nie zapamiętać, bo pozycye poleskie tak są charakterystyczne. Jeszcze mi w oczach, a raczëj w wyobraźni stoi, jakeśmy czasem jechali *szuhaleją* długo, długo pomiędzy sitowiem i łożą. Pod nami był zło-cisty piasek, a obok nas latały śmieie jasno-zielone wodne motylki“ i t. d.

STR. 26. I ruszyć na jezioro — w jednej szuhalei...

Szuhaleja — gatunek łodzi, z jednej sztuki dębu wyrobionej. Znane są w okolicach Mozyrza, Czarnobyła i Pińska. Mają to być te same statki, które Konstanty Porfirogenita nazywa „Monokila.”

STR. 31. Lepiej niech będzie głupim, a rodu nie spodli.

Po tym wierszu w rękopiśmie następuje:

„Jeszcze za moich czasów w całej Europie  
„Poczęło w modę wchodzić pobratymstwo chłopie;  
„Lecz trocki wojewoda (zbaw Panie mu duszę)  
„Tak bywało powiada o tój zawierusze:  
„— Francuzi zasłużyli na porządne cięgi,  
„Więc wzdychają mospanie do chłopskiej siermięgi:  
„Brac chłostę w karmazynie to jakoś nieskładno,  
„Niechże ich drudzy plażą, gdy się sami kładną,  
„Niech gminną równość ludzi wychwalają radzi,  
„Szlachectwo podrożeje, kiedy się przierzadzi.  
„Patrzmy kto będzie więcej estymowan w świecie:  
„Francuzi przeszli w chłopów, a my szlachtą przecię.—”

STR. 35. Ile się jeszcze bogactw w łonie ziemi kryje.

W rękopiśmie następują cztery wiersze opuszczone w druku:

Jak na zgubę rolnictwa — szlachta od waszeci  
Kładzie pieczęć niewoli na czoło swych kmieci,  
Ze póty u nas będzie nędza i golizna,  
Póki bliźni bliźniego za brata nie przyzna.

STR. 35. Niekiedy w nocy gdy maj się pocznie.

Cały ten ustęp X inaczej brzmi w pierwotnym kształcie. Przytaczamy go dla porównania i nauki, jak prawdziwy artysta troskliwie chodzić musi około wykończenia dzieła.

Dziw mi tym panom! — majskie wieczory...  
Oni wychodzą z kamienną twarzą  
Użyć przechadzki i pięknej pory,  
Wleką się z wolna, ziewają, gwarzą...  
Nie ma jak u nas! — Gdy maj się pocznie,  
Słowik wieczorkiem piosnkę zadzwoni,  
My tłumem ludzi, tabunem koni,  
Lecim przez wioskę śpiewając skocznie; —

Aż nad łąką, aż nad rzeką,  
A tam konie precz z uwięzi!  
Hurmem ognia i gałęzi,  
Płomień strzeli! — ej daleko  
Widać ogień nasz!  
A przy ogniu gwaru tyle,  
U każdego humor złoty,  
Ze posłyszysz aż o milę  
Nasze krzyki i chychoty!  
Aż o milę w nocnej guszcy  
Brzmi donośny róg pastuszy.

Ognia sucięj, dymu gęścięj!  
I ziemiłanki pieczem w żarze,  
Kaźdy jakieś duby plecie,  
Płomienieją nasze twarze.  
A choć komu się nie szczęści,  
Jak zwyczajnie na tym świecie, —  
Gdy gromadnie, huczno, gwarnie,  
Smutek duszy nie ogarnie —  
Człowiek ani dbasz!

Księżyc wypłynie do połowy nieba,  
Zjemy ziemiłanki i chleba po kęsie,  
Potém jak hukniem: „*Dobranoc o Jezu!*”  
Tak aż się echo w olszniaku zatrząsie! —  
I daleko po równinie  
Świętęj pieśni echo płynie.  
Czasem słowik wtór nam poda; —  
W sercu rzewność tak głęboła,  
Ani ujrysz, gdy ci z oka  
Łzy poleją się jak woda.  
Człowiek rzeźwiejszy po świętęj pieśni  
Do nowych śmiechów, do pogadank;  
We wsi już kury pieją poranek,  
A o spoczynku żaden z nas nie śni.  
Bo jakże usnąć w majowe noce!  
Tu konie zarzą, tu ogień błysnie;  
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,  
Na tysiąc tonów piosnkę szwargoce.

Chróst na stosie, ogień bucha,  
Księżyc świeci, — a gromada  
Pieśni, skazki opowiada —  
Skazek, pieśni bacznie słucha.  
Miloż w kółko sieć na ziemię,  
Gwarzyć w ptactwa słodkięj wrzawie!  
Jeden, drugi niby drzemie,  
Miloż drzemać na murawie!  
Ptactwo milknie po kolei,  
Ogień z wolna gasnąć zacznie,  
A nam sen powieki klei,  
Ale czujnie, ale bacznie!...  
Kaźdy słyszy, jako żywo,  
Czy koń parsknie, czy podskoczy,  
Brząkanie trzęła, wstrząśnie grzywą,  
Albo zarzy na uboczy.

Po chwilce drzemki oko się przetrze,  
Blizko poranek, znać już po wietrze,  
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczeki,  
Po głosie drozda i przepióreczki,  
I koń już częścięj stuka w kopyta  
Zroszoną trawę pośpiesznieęj chwyta,  
Cyt!... już i słowik strzela piosenką,  
Już i skowronek wita się z dzionkiem,  
My za słowikiem i za skowronkiem  
Nóćim: „*Zawitaj ranna jutrzeńko!*”

Ot i szaro, ot i dnieje,  
Ot i gaśnie blask księżycyca,

Ot i zorza jak dziewica  
Miłą barwą promienieje!  
Ot i we wsi ruch już pewny,  
Kogut pieje czas świtania,  
Ranny ptaszek dziad cerkiewny,  
Na pacierze już wydzwania.  
Jakże pięknie głos daleki  
W mgłach porannych się rozplywa!  
Rzewny chłodek wieje z rzeki,  
Z oczu resztę snu obmywa.

Słońce ognistym trysio promieniem  
Oblało ziemię światłem i cieniem.  
I niebo w złocie, w różach, w błękicie,  
Ziemia w zieloność strojna wesolą.  
A człowiek wtedy, patrząc w około,  
Stałby jak wryty przez całe życie.  
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,  
Aniby sobie przypomniał kiedy,  
Ze gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,  
Ze on — nie więcej — zlepek gliniany!...

Héj do domu! czas już pewnie!  
Konie syte nocną paszą,  
My weseli, hukniem śpiewnie,  
I porzucim łakę naszą;  
I wtórując trąbką z rogu,  
Na wyścigi! hej przez rowy! —  
Ot i nocleg dzięki Bogu!  
Ot i spacer nasz majowy!

STR. 42. Życie Solona albo Arystyda.

War.: Życie Solona lub śmierć Leonida.  
Ileż to razy z oburzenia płacę,  
Gdy się naslucham jak Sokrates kona,  
Jak rzymskich Grachów mordują bogacze,  
Jak Brutus wbija miecz sobie do łona!  
Ileż to razy i t. d.

STR. 42. A owo widzę jakby wiejska chata.

War.: A owo zda się jakby nasza chata.

STR. 43. W innych postaciach nalatywać zaczęła.

War.: W zimnych.

— Dalej idzie wariant:

Razem pomrzemy lub razem zwyciężym,  
Tak przysięgają sobie wojownicy.  
W tém nowe widmo: w dalmatyku księżym  
W koronie, z berłem &.

— Dalej jeszcze opuszczono:

Ze trzy do roku zaniechał różańce,  
Gdy był zajęty wojenną potrzebą.  
Mnich za pokutę wskazał na trzy krańce,  
Ku Bałtykowi, na wschód i na niebo,  
I coś mu szepce, — a myśli méj głowy i t. d.

STR. 43. Rozproszył kogut piejąc nad pościela.

Daléj idzie w rękopiśmie:

Tedy się senny zrywam, daję susa,  
I nieprzytomny zawołam rozpacznie:  
— „Cóż to? czy Piotr już zaparł się Chrystusa?!”  
— „Nie, panie Janie, ale świtać zacznie,  
„Czas do roboty!” i t. d.

STR. 43. Ale gdyśmy sam na sam, strach co wygadywa  
Na owe z wieśniakami noclegi i zniwa!

Ojciec poety nie był zgoła podobny do ojca Jana Dęboroga. Szlachetnej powagi mu nie zbywało; ale opryskliwości i pychy szlacheckiej pospolitych dzierżawców nie miał ani cienia. Najwybitniejszym rysem jego charakteru była wielka „łagodność,” i ztąd też w poemacie Kondratowicza *Kęs Chleba*, opiewającym smutną dolę ostatnich lat żywota ojca poety, bohater opowiadania nosi imię „Łagody.” Pomimo tego, wprawdzie nie z pychy, ale z rachuby pedagogicznej, rodzice poety trzymali go w dzieciństwie z daleka od ludu, i ten rys ich postępowania odbił się w postępowaniu ojca Dęboroga. „Rodzice moi — powiada poeta w ulamku pamiętnika — będąc dzierżawcami i pracując krwawo na kawał chleba, żyli mało towarzysko; ztąd niewiele widziałem ludzi. Strzeżono mię, abym nie miał stosunków z klasą niższą; ztąd nie nauczyłem się swawoli tak właściwej małemu chłopięciu.”

STR. 44. Krom rycerskiej zabawy niech &

War.: Kiedy miecza nie nosim, niech sobie spoczywa.

STR. 46. Nomen, pronomen, verbum et caetera.

Imię, zaimek, słowo i tak daléj.

STR. 47. Wybornie chłopcze—będziesz w drugiej klassie!

Cale to opowiadanie o kształceniu się Dęboroga po wyjściu od definitora, rozwinięte następnie przez Kondratowicza w osobnym poemacie p. t. *Szkolne Czasy*, jest obrazem własnego kształcenia się poety u Dominikanów w Nieświeżu. Dominikanie utrzymywali tam szkołę uniwersytecką z programatem szkół powiatowych, czyli tak nazwanych przez komissję edukacyjną podwydziałowych. Pobyt w niej Kondratowicza tak jest opisany w ulamku pamiętnika: „Pamiętam w końcu sierpnia 1833 r. zapowiedziano mi, że za kilka dni pojedę do Nieświeża zdawać egzamen. Przyszedł dzień naznaczony; ojciec i ja, opatrzeni w błogosławieństwo mamy, ruszyliśmy do Nieświeża. Przez drogę mówiłem pacierze i recytowałem tabelkę Pytagoresa, i anim się postrzegł jak stanąłem w Nieświeżu, przed klasztorem księży Dominikanów. Nie wiem jak stanąłem przed księdzem prefektem, bo byłem *przerazony*, bo wiedziałem, że od mego egzaminu zależeć będzie pociecha rodziców, moja reputacya, podzięka panu guwernerowi. Trząsałem się stanawszy w kwaterze ks. prefekta; lecz na widok jego szanownej, ośmielającej postaci, *nabrałem odwagi* i śmiało odpowiedziałem na kilka pytań z grammatyki ruskiej. Wezwano potém dwóch innych professorów, i ci mię egzaminowali długo z widocznym interesem i ukontentowaniem. Nareszcie oświadczone jednogłośnie, że



mogę pójść do *drugiej* klasy, bylebym zaraz po otwarciu szkół przyjechał. Do domu leciałem na skrzydłach. Co tu było płaczu, radości, podziękowań od rodziców! Niewiele chwil w późniejszym życiu miałem tak szczęśliwych... Dnia 5 września 1833 byłem formalnie wprowadzony do klasy *drugiej*. Jak tu głowa moja kręciła się na widok tylu rówieśników, na hałas swawoli! Nie miałem długo z nikim zażyłości, bo byłem nowo przybyły, bo z nimi nie byłem w pierwszej klasie. Lecz wkrótce zaczęto mię lubić, zacząłem się nieźle uczyć, bo mówiąc szczerze, wiele rzeczy w *drugiej* klasie było mi już dobrze znanych. U nas wtedy był prefektem ks. Hieronim Bajkowski, człowiek z nauką, z umiejętnością prowadzić dzieci i natchnąć ich ku sobie szacunkiem i przywiązaniem. Trudno wyrazić, ileśmy go kochali i szanowali. Dalsi nauczyciele byli mniej lub więcej odpowiedni swoim obowiązkom. Najbardziej kochałem ks. Czernieckiego, który dawał łacinę i język polski; nie lubiłem Zubrzyckiego, który dawał język niemiecki, a lękałem się Jakumowicza profesora religii, Sokołowskiego historii naturalnej i Rogalskiego języka francuzkiego, bo byli srodzy. Lecz dwaj pierwsi nigdy mię nie znaleźli nieprzygotowanym; a ostatni, który był moim szkolnym guwernerem, choć palił mi ogniście w łapę, nieźle wyuczył po francuzku i do dziś dnia jest moim przyjacielem. Mało który z nas wiedział nazwiska wszystkich profesorów; zważyliśmy ich od przedmiotów, które dawali: *Ksiądz Łacina, Niemiec, Francuz, Rusak, Matematyk, Fizyk, Historia*,—co tak weszło w użycie, że niektórzy sami się tak podpisywali... Z początku nie miałem przyjaciela; potem zaprzyjaźniłem się z Michałem Morettem, synem mojej gospodyni, który choć był swawolny, a zatem wcale nie przypadł do mego serca, był to jednak jedyny na kwaterze mój kolega z *drugiej* klasy. Uczyliśmy się z jednych książek, staliśmy razem w ordynku, modliliśmy się na jednym różańcu, przy jednym stożku, siedzieliśmy razem w ławce szkolnej. Uczyłem się nieźle: choć miałem słabą pamięć, lecz za to wielką zdolność pojmowania. Z razu siedziałem w ciżbie szkolnej; potem zwróciłem na siebie uwagę i zostałem trzecim uczniem. Choć u nas nie było miejsc przepisanych, jakby zmownie pod koniec roku zasiedliśmy następną koleją: Gąsiewski Hipolit, Ciekawy Walery, Kondratowicz Ludwik, Mołczanowicz Józef, Śliwiński Mieczysław—i było to stopniowanie naukowe. Składaliśmy poczet celujących uczniów... Ja z *drugiej* klasy powiozłem piękne świadectwo i list pochwalny w nader chlubnych wyrazach. Był to rok dla mnie nader szczęśliwy... O drugim roku i trzeciej klasie nie mogę nic podobnego powiedzieć; bo choć uczyłem się dobrze i zawsze należałem do najcelniejszych uczniów, pod koniec roku rozleniłem się, i zacząłem nudzić szkołę,—a to wszystko, niktby nie zgadł, że z miłości... W czwartej klasie strzeżono mię pilnie, dodano mi rodzaj honorowego guwenera w moim kolledze, Gąsiewskim, postawiono w inną gorszą kwaterze. Byłem jak zawsze celującym w klasie; lecz w domu Bóg widział co się ze mną działo, ilem wycierpiał od swojego pseudo-guwenera... W roku 1835 przyjechał dyrektor miński Żukowski, kazano nam się zejść wszystkim. Spodziewaliśmy się egzaminu; natomiast przeczytano ukaz zamykający szkołę nieświeżką... Przeniosłem się do Nowogródka do tamecznych szkół świeckich, gdzie skończył piątą klasę. O tej szkole nie mam do mówienia; żadnych z niej nie poniosłem wrażeń, żadnej naukowej korzyści...<sup>7</sup>

STR. 48. Co mi trzeba podeptać, a przed czém uklękę?

Rozpaczliwe łamanie się z własnymi myślami, niepokój, to gorączkę to upadek ducha, zaznacza poeta niemal na każdej karcie utwórka

swojego pamiętnika. Nie wątpi tylko o tryumfie ostatecznym swobody i tryumfie religii. Dnia 20 sierpnia 1846 r. napisał nawet z tego tematu traktacik, w którym między innymi czytamy: „Francuzki naród żywy, praktyczny, ruchawy, przecież jakby wbrew własnemu charakterowi stał się marzycielem przez cały wiek XVIII, bo już palec boży niewidzialnie wskazywał mu cele emancypacji. Rozwiązano węzły religijne — okropna wolność powstała. Tak to Bóg najlepszy dziwną drogę wybrał dla ludów, aby ich zaprowadził ku szczęśliwym celom ich przeznaczenia; pozwolił im nawet na chwilę zaprzeć się Go, bo woła Jego było, aby się ludy odrodziły. I Francya odrodziła się — zmodyfikowała się sama w swém przesadzoném zdaniu o prawach człowieka, została konstytucyjną, a jednak katolicką i najwerniejszą sługą kościoła. Głupio więc rezonują ci, co dowodzą, że katolicyzm uświęca wszelką ludzką władzę — ale to nie należy do rzeczy. Wszystkie, jakie były reformy religijne, złe czy dobre, wszystkie wyrodziły potem wypadki, mające na celu reformę socyalną. Skutki tych reform zawsze były ku lepszemu narodom, a zawsze skończyło się na uznaniu prawego Boga i czci ku kościołowi — bo Bóg jeden jest Najwyższym. Wszystkie ważniejsze wypadki miały podstawę w religii, bądź to ją uznając, bądź zaprzeczając; od wojen krzyżowych aż do rewolucyi francuzkiej tak działo się ze wszystkimi wypadkami w Europie. Zadaniem dzisiejszego wieku jest wyjarzmienie się. Więc przyszła najprzód emancypacja literacka z pod praw klasycyzmu; potem filozofia dzisiejsza uważana pod względem religijnym i religijność w ogólności. Filozofia nie idzie drogami prawdy, jednak uspasabia ludzi do swobody. Filozofia Hegla, Trętowskiego i innych Niemców, nie jest chrześcijańską, owszem uspasabia do wolnego myślenia w rzeczach wiary tak jak filozofia Woltera; jest szkodliwą pod względem religii, ale budzi do samopoznania. Filozofia niemiecka upadnie, jak upadła filozofia Woltera, a na jej miejscu Ewangelia znowu tryumfować pocznie, bo Ewangelia jest nieomylną, jest bożką... Powszechny liberalizm jest to wrzód, który w tej chwili (1846) narywa w Niemczech i wkrótce pęknie. Będzie czas irreligii, może herezyi, a może nawet i fanatyzmu; lecz wkrótce ludy po swém wyzwoleniu uderzą czołem przed prawdziwym Bogiem, połączą się bratnim węzłem w łonie kościoła, i będzie jeden pasterz i jedna owczarnia...” Kończy zwrotem do córki urodzonej 5 kwietnia 1846 r., obecnie nieżyjącej: „Maryniu! dobrze już po śmierci ojca twego i matki przeczytaj ten kawałek i porównaj z tém, co się za twoich czasów dziać będzie.”

STR. 49. Spotkasz czasem którego — spojrzysz na oblicze —  
Nie on, nie on szlachetne spodziewania ziści!

Bolesny ten ustęp mógł być aż nadto owocem własnego doświadczenia. Atoli odbiły się w nim i słowa Sękowskiego z powieści *Idealna Dziewica*, które tak uderzyły i przeraziły Kondratowicza, że po przeczytaniu przetłómaczył je z rosyjskiego i wpisał do swego pamiętnika pod dniem 25 stycznia 1845 r. Czytamy tam między innymi: „Nieraz byłem zakochany w cudnych zjawiskach duchowej piękności mężczyzny, i tworzyłem z nich ideały wielkich ludzi. Uniesieni zapalem, zdobimy ich przyszłość najdroższymi kolorami marzeń, utrzymujemy ich w pięknych zamiarach odznaczenia. Oni rwą się, pracują, palą się żądzą zadziwienia świata. Idą — poszli. Jedni błyszczą na górze jak świetne meteory i oświecili sobą mniejszą lub większą przestrzeń; drudzy jeszcze wśród mgły unoszą się w powietrzu.

Powitajcie ich oklaskiem! Lecz po kilku latach przypadkiem *spotykamy* ich na jakiejś wązkiej i ciemnej ścieżce życia. Czyż to oni? Niepodobna poznać! Cały swój szlachetny zapał do wzniosłego i pięknego, wszystkie promienie przyszłego blasku przedali za iskierkę pychy lub za drobiazgową ziemską *korzyść*. Pierwsze usiłowania ich zmęczyły i t. d." Poeta po przytoczeniu tych wyrazów, poprzysięga nie dopuścić sprawdzenia się takiej klątwy na sobie.

STR. 51. Choć nie senator, venator przecię.

Venator — myśliwiec, łowczy.

STR. 66. Redde quod debes!

Oddaj coś winien.

STR. 79. Odbyłeś spowiedź tuż przed potrzebą.

Potrzeba — w stariej polszczyźnie: bitwa.

STR. 96. Żyjąc w miłości i bojaźni bożej...

Paroksyzmów swoich miłosnych zapisał Kondratowicz kilka z czasów przed ożenieniem. Więc najprzód będąc w szkole w Nieświeżu i mając 12-ty rok życia, zakochał się w jakiejś pannie Malwinie, tak, że biegał za miasto na ponure samotne przechadzki, „zaniedbał był składać zwyczajne ćwiczenia i zapominał się na lekcyi.” Następnie w 18-m roku, będąc już na wsi, „skierował czułość ku jednej wiejskiej dziewczynie, czułość czystą, platoniczną;” — ta „śmieszna miłość do prostytutki trwała miesiące ze trzy.” Potem gdy był przy rodzicach w Załuczu, zakochał się w cudzej żonie; ale „nigdy nie dał jej tego do zrozumienia.” Później w Nieświeżu zakochał się w pannie Michalinie R., „nie z potrzeby serca, lecz z hultajstwa“ (z litewska, zamiast: próżniactwa); ale panna Michalina „żartowała sobie“ z początkującego poety. Żadna z tych namiętnostek nie wskazuje, żeby poeta w dziejach miłosnych młodego Dęboroga opowiadał własne przygody. Ale wspomnienie, jak młodzi państwo Dęborogowie, w *doli* lub *niedoli*, „żyli w miłości i bojaźni bożej,” jest echem własnego owoczesnego pożycia domowego autora. Oto np. co pisze Kondratowicz w swym raptularzu pod d. 30 maja 1845 r.: „Polożenie moje inny nazwałby krytycznym, lecz ja inaczej te rzeczy biorę, — i nie dbałbym o to, że przy gorliwej pracy nie mam czasem trzech groszy przy duszy, że chodzę w podartych bótach, że nam zbywa na wielu a wielu rzeczach—nie dbałbym, mówię, ale mam żonę, która nie jest obowiązana podzielać mojej filozoficznej pogardy dla rzeczy przemijających. Moja żona jest cudem swojej płci. Jak troskliwie przeznala swoje obowiązki, a mianowicie najważniejszy obowiązek uszczęśliwiania mię! Jak szlachetnie nieraz stękać pod niedostatkiem, ani słówkiem nie piśnie o tém przedemną! Jak chrześcijańskim sposobem znosi przykrą drażliwość mego humoru, na którego zepsucie działają i jakieś szaty poetyckie mojej głowy i serca, i niedostatki materyalne, i przykrości nieodłączne od każdego człowieka! Jakże czuję nad tém, że nie zawsze mogę być takim jak ona, tak dla niej słodkim i czułym, choć jestem równie do niej przywiązany!”—A pod dniem 5 kwietnia 1846 roku znów czytamy: „Boże mój! Boże litościwy! *na kolanach ze łzami*

błogosławię Cię za łaskę nam wyświadczoną! Zeszłej nocy pokładli-  
śmy się dosyć późno; ja gawędziłem z żoną, a potem usnąłem na po-  
tęgę, i spałem do rana. Wtém droga mama budzi mię i donosi, że  
mam córkę! Zony w pokoju, gdzie zwykle sypia, nie ma—biegnę na  
przeciwek... Zaleliśmy się łzami *radości*. Dziecię *krzepkie*, matka w sta-  
nie zaspakajającym. Boże! czyż ja grzeszny na tę Twą łaskę zasłu-  
żyłem?"—Mamy tu zatem i źródło tego, co włożył poeta w usta ojca  
Dęboroga na str. 74:

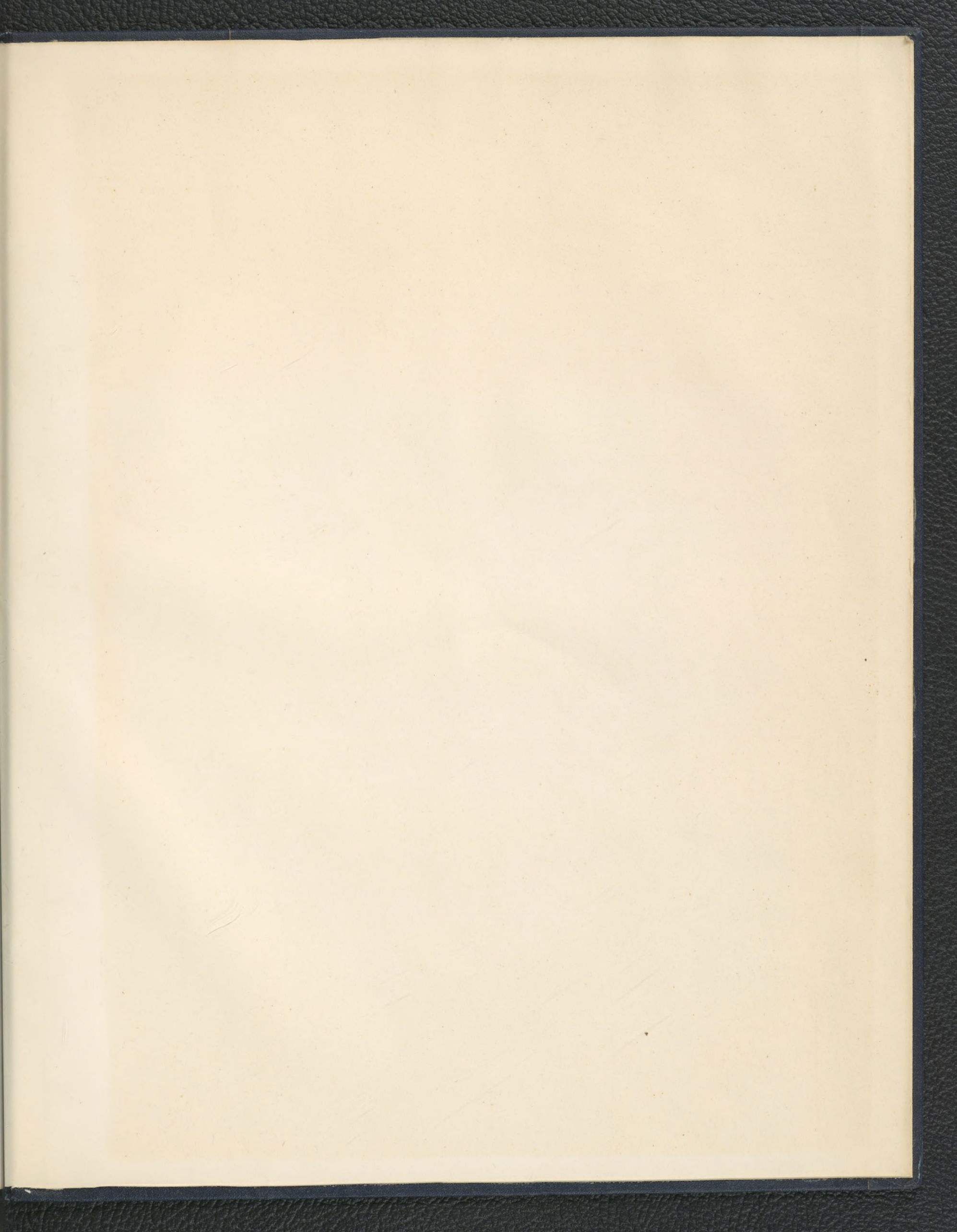
Pan Bóg nową radością mój dom uwesela,  
Bo nam się syn urodził zdrowo i pomyślnie.  
Do rozrzewnionej duszy modlitwa się ciśnie...

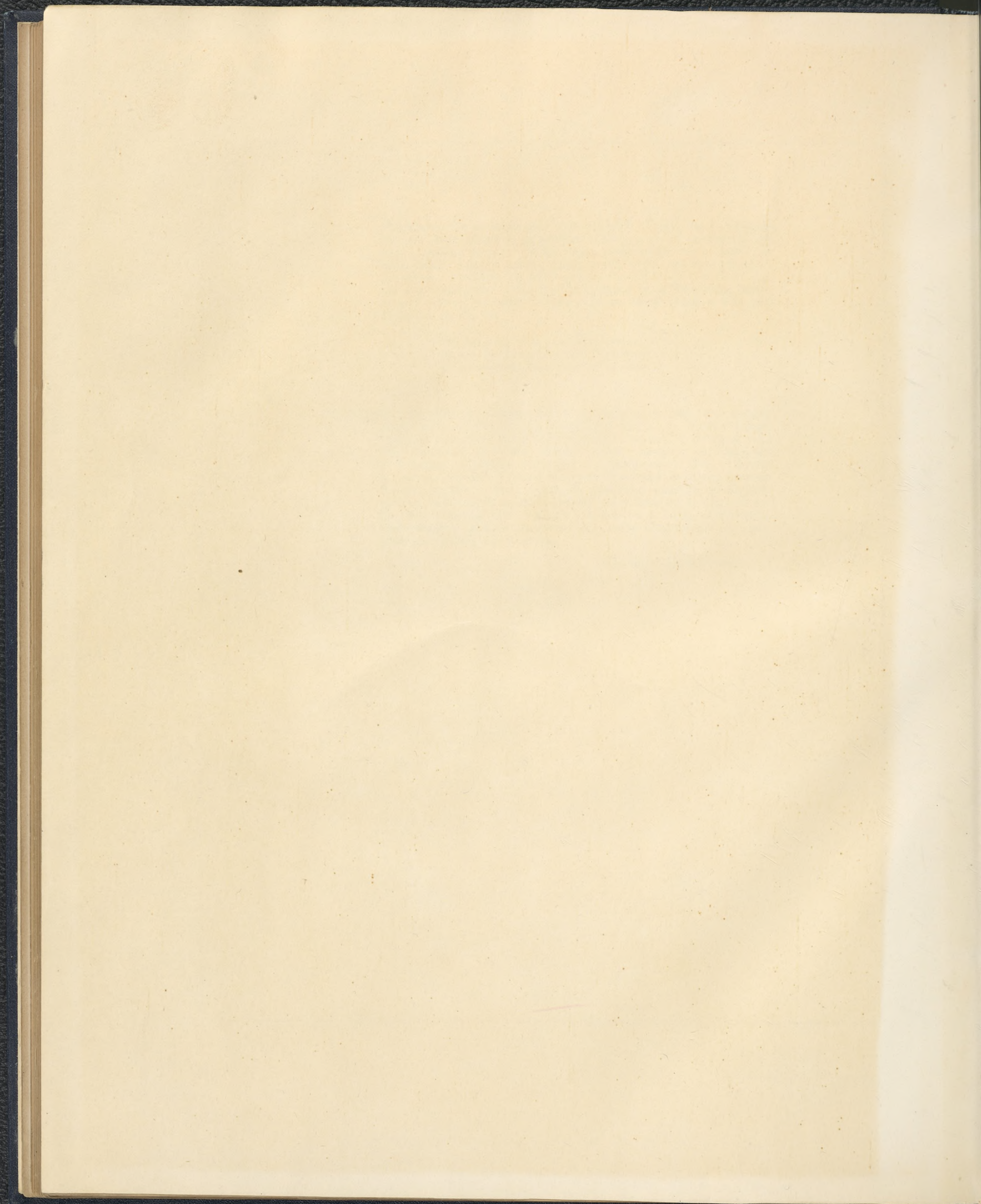
URODZONY JAN DEBORÓG ukazał się po raz pierwszy w roku 1853, z datą  
1854, w Petersburgu i Mohylowie, nakładem B. M. Wolffa. Drugie  
wydanie, poprawne i powiększone epilogiem, wyszło w Wilnie w roku  
1855 nakładem A. Assa. Trzecie zrobił podstępem M. Jagielski  
w Poznaniu w *Pismach Epicznych i Dramatycznych* 1867. Czwarte  
z napisem „trzecie” wykonał Maurycy Orgelbrand w Lipsku drukiem  
Brockhaus'a 1872 r. Piąte weszło do pierwszego tomu *Poezji* Kondra-  
towicza, ogłoszonych na rzecz rodziny poety drukiem J. Ungra w ro-  
ku 1872. Obecne więc wydanie jest szóstym z kolei, a pierwszym  
illustrowanym. Kilkakrotne poprzednie próby illustrowania tego poe-  
matu nie ukazały się w druku.

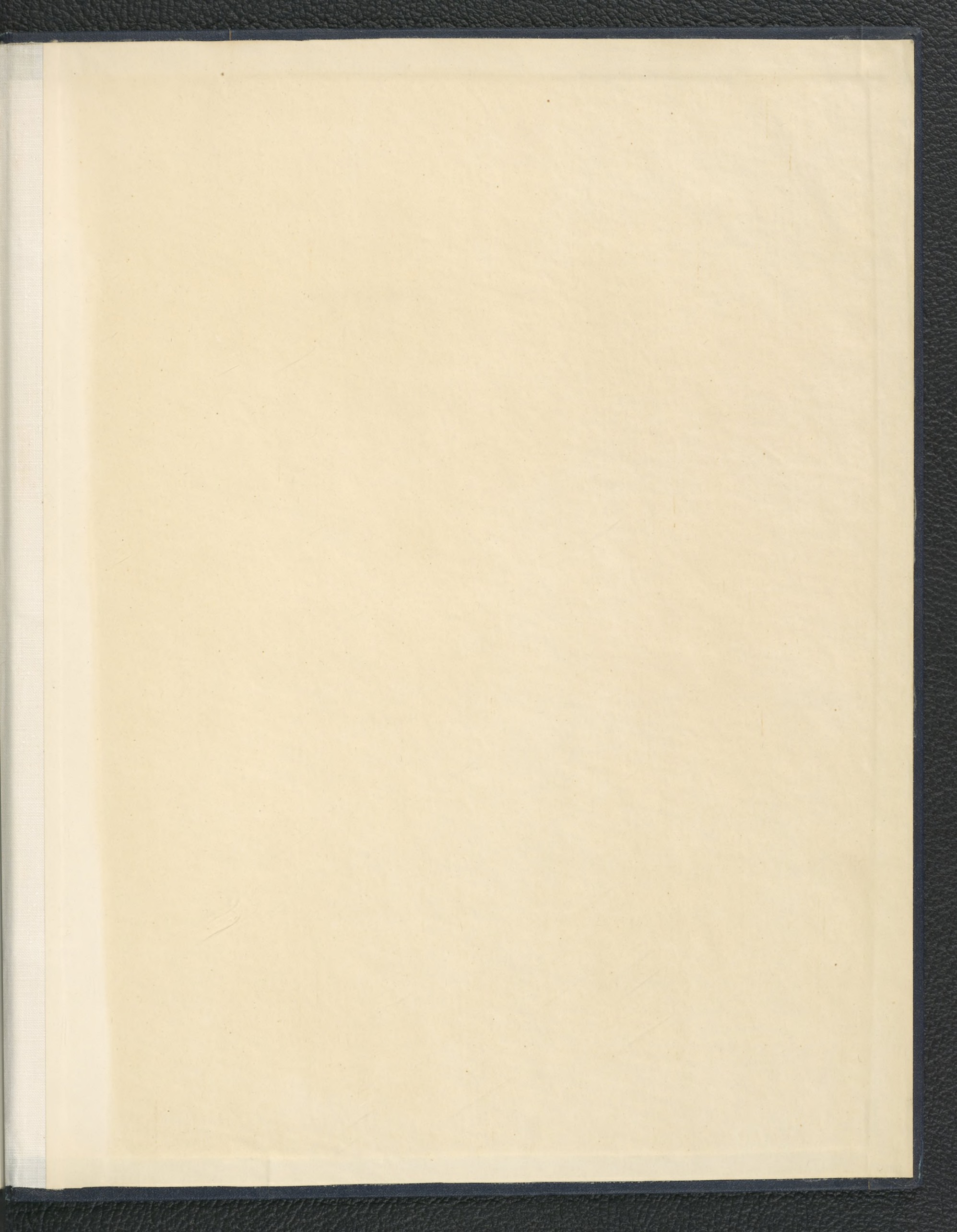
WINCENTY KOROTYŃSKI.



Mag Export  
"Słownik Księgarski"  
V-va 12.VIII.685.  
120, -









393780

